WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 94 15 SIERPNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

TAJEMNICA STARYCH RUIN – str. 4

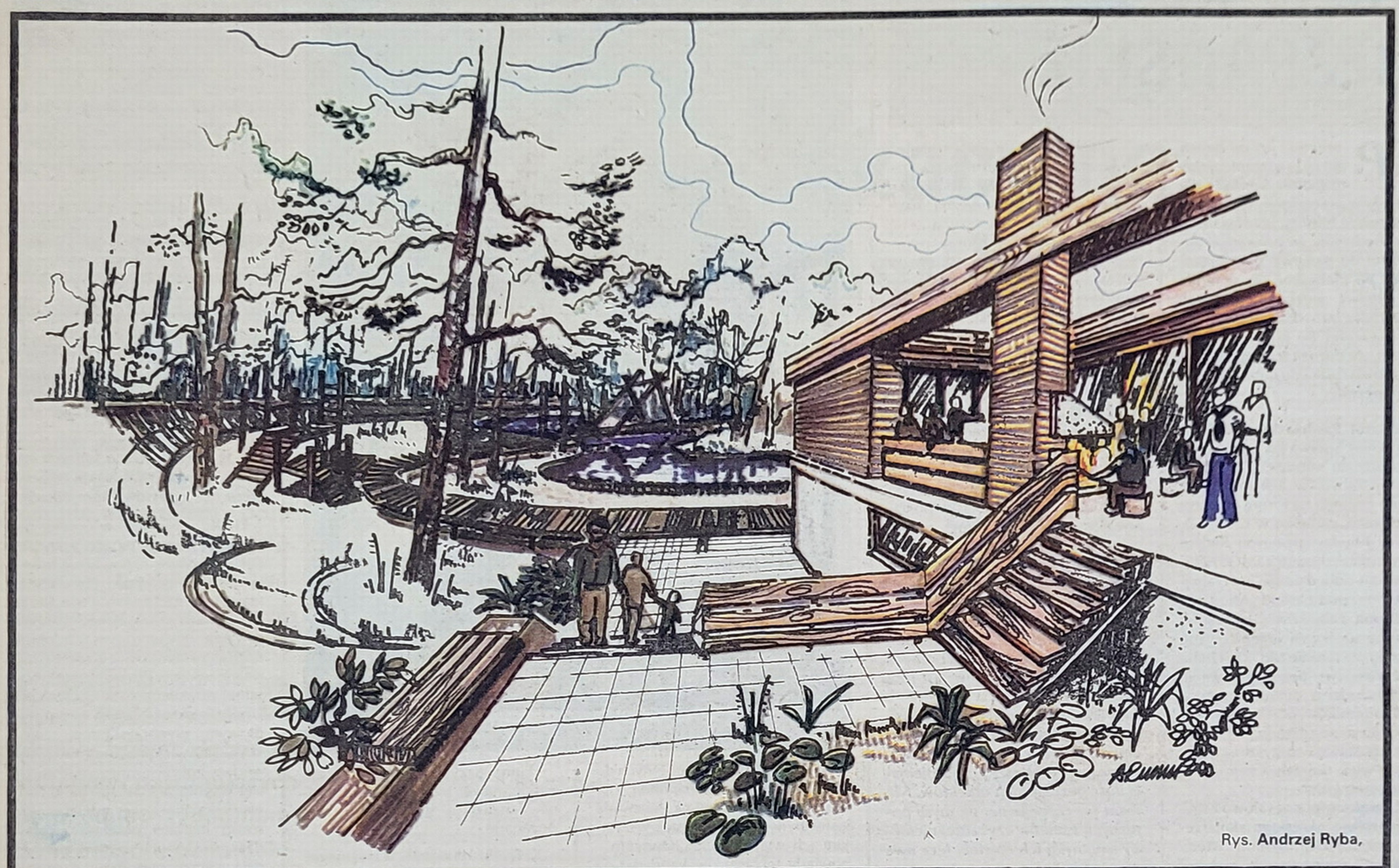

Rys. Andrzej Ryba,

O DŻUNGLI DLA HARCERZY

ZBIÓRKA NA AMBONIE

Wierzbowo – topolowe zarośla na Cyplu Czerniakowskim nad Wisłą były równie niedostępne jak podzwrotnikowa dżungla. Śmiałek, który próbował się przedzierać przez gęsty, nadwiślański łęg, z trudem wyciągał buty z lepkiego błota. Teren położony za wałem przeciwpowodziowym Wisły, okresowo zalewany przez muliste wody z osadników Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji, pokryła warstwa tłustej gliny. – Jak z tego zrobić coś dla harcerzy? – zastanawiali się architekci z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego „Stolica".

CIĄG DALSZY NA STR. 5

WAKACJE POD ZNAKIEM SŁOŃCA

SOŁTYKÓW (HSI). Drużyna harcerska z Sołtykowa swoją wakacyjną bazę zlokalizowała w pobliskim lesie. Zbudowali tu szałas, który służy im w czasie deszczu za schronienie, a przed szałasem wywiesili własnoręcznie wykonany symbol drużyny – „Słońce", znak radości i uśmiechu, który ma im towarzyszyć przez całe wakacje i odzwierciedlić ich wakacyjne nastroje. Niedawno na jedno z ognisk zaprosili swoich nauczycieli i mieszkańców wsi. Gościom bardzo się podobały piosenki, wiersze i skecze w wykonaniu harcerzy, a harcerzom z kolei – opowieści starszych mieszkańców o ziołach, ich zastosowaniu leczniczym i sposobach zbierania.

(mi)

Ta baza otwarta jest dla wszystkich

KRASNE (HSI). Wraz z zakończeniem roku szkolnego rozpoczęły tu swoją działalność 2 wakacyjne zastępy: „Słoneczka" i „Pancerni". Ich członkowie przenieśli się na okres wakacji do swojej bazy w namiotach ustawionych w szkolnym ogródku. Są tu totemy wykonane z korzeni i mchu, tak jak na prawdziwym harcerskim obozie. Jest także ścieżka zdrowia, z której korzystają nie tylko członkowie zastępów, ale także... ich rodzice. I bardzo im się taki sport podoba. Zastęp „Słoneczka" prowadzi również kawiarenkę „Słoneczna baza", w której można wypić szklankę herbaty albo zimnego mleka lub też zamówić truskawki ze śmietaną. Pycha! **(dz)**

TYLKO 7 DNI

SARNOWICE (HSI). Zuchy i harcerze przebywający na stanicy NAL w Sarnowicach mimo kiepskiej pogody nie mieli czasu na nudę. Wspólnie z kadrą harcerze zorganizowali konkurs wiedzy o państwach socjalistycznych, festiwal harcerskiej piosenki i tradycyjny już „bal przyjaźni". Bal udał się, a żeby było ciekawiej, poszczególne zastępy w charakterystycznych dla danego kraju strojach opowiadały o jego historii i tradycjach.

Wieczorami, kiedy rzeczywiście leje, młodzież bawi się na dyskotece. Na stanicy czas upływa niezwykle szybko i wszyscy żałują, że turnus trwa tylko siedem dni. Żeby pozostawić tu po sobie trwały ślad, uczestnicy stanicy malują pawilony i konserwują listwy podłogowe. **(dz)**

NAL w Krakowie

KRAKÓW (HSI). Do 20 sierpnia trwać będzie w grodzie Kraka Nieobozowa Akcja Letnia, której organizatorami są: Kuratorium Oświaty i Wychowania, Pałac Młodzieży (z ul. Krowoderskiej), młodzieżowe domy kultury i Krakowski Szkolny Ośrodek Sportowy. KSOS, oprócz rozgrywek w ringo i w tenisa prowadzi też naukę pływania na basenie w Nowej Hucie. Pałac Młodzieży jest natomiast organizatorem akcji „Poznajemy okolice Krakowa", udostępnia swoje sale gier świetlicowych, przygotowuje projekcje filmów fabularnych dla młodych krakowian. (jar)

Ech, co za życie! Mnie to nawet popływać nie dadzą. Żar się z nieba leje, a ty, małpo, rób swoje i wystawiaj się na widok różnym ciekawskim gapiom. Tym dwóm w wodzie to dobrze...

Fot. CAF

WIELKA BRYTANIA (PAP). Brytyjski naukowiec Trevor Dixon zaapelował do wczasowiczów spędzających wakacje nad morzem, by pomogli mu w odpowiedzi na pytanie, co właściwie dzieje się ze śmieciami z tworzyw sztucznych, masowo wyrzucanymi na plażę. Badając zaśmiecenie plaż w płd. Anglii, natrafił on na zagadkę: opakowania z tworzyw sztucznych, leżące na brzegu, dostały się do morza stosunkowo niedawno, a starych opakowań jest niewiele. Ponieważ opakowania te ani nie toną, ani nikt ich nie zbiera z plaż – można przypuszczać, że fale morskie rozbijają masy plastyczne na drobne szczątki, które mieszają się z piaskiem. Piękne plaże w coraz większym stopniu składają się więc chyba z plastykowej imitacji piasku. Można obawiać się, że wywrze to katastrofalny wpływ na życie przybrzeżnej flory i fauny. **(kl)**

Plastykowe plaże ?!

Na politycznej scenie

Tradycja przeciw prawu

Dla około 80 milionów indyjskich pariasów, czyli ,,niedotykalnych", czas jakby się zatrzymał. Ukształtowany przed 35 wiekami system kastowy wyrzucił ich poza nawias społeczeństwa. Przez wieki uprawiali ,,nieczyste" zawody, byli grabarzami, zamiataczami, śmieciarzami, ich dzieciom nie wolno było uczęszczać do szkół, nie mogli czerpać wody ze studni z wyjątkiem specjalnie dla nich wyznaczonych. Do dziś traktowani są przez niektóre grupy społeczne jak trędowaci. Zetknięcie z nimi Hindusów z wyższych kast pociąga za sobą konieczność poddania się specjalnym zabiegom oczyszczającym.

Wielkim bojownikiem o prawa dla ,,niedotykalnych" i zniesienie dyskryminacji kastowej był Mahatma Gandi, a potem Nehru – przywódca Partii Kongresowej. W 1950 r. konstytucja zniosła wszelkie podziały kastowe, ale tradycja okazała się silniejsza i faktycznie nic się nie zmieniło. Pariasi w dalszym ciągu pozostawali ludźmi bez żadnych praw, jedynie z obowiązkiem bezwzględnego posłuszeństwa wobec lepszej, kastowej większości. Nie pomogły też wprowadzone w 1955 r. a następnie w 1972 i 1976 ustawy karzące więzieniem wszelką dyskryminację.

Niedotykalni przyjmowali do tej pory wszelkie prześladowania z pokorą i uległością choć dla niektórych kończyło się to często utratą życia. Coraz bardziej jednak widocznym staje się, że nie będą godzić się z takimi praktykami, że będą walczyć o to, co formalnie gwarantuje im konstytucja, o prawo do pracy, do ziemi, nauki, o prawo do życia. Meldują policji o wszelkich aktach przemocy, a nawet utworzyli bojową organizację ,,uciemiężonych panter", która ma bronić ich przed prześladowaniami kastowych Hindusów. A przyczyny tych prześladowań są bardzo różne.

Przed kilkoma dniami do poważnych zajść doszło w środkowozachodniej prowincji Indii. Hindusi kastowi, niezadowoleni z uchwały zgromadzenia stanowego o nadaniu tamtejszemu uniwersytetowi imienia wybitnego przywódcy niedotykalnych, zaczęli napadać na pariasów i podpalać ich osiedla. W zamieszkach wielu zginęło, wielu pozostało bez dachu nad głową. Odpowiedzią niedotykalnych była fala demonstracji, strajków, a także czynne włączenie się do obrony. Nie doczekawszy zagwarantowania równouprawnienia przez rząd, sami podejmują walkę. Coraz bardziej świadomi są tego, że stanowią dość znaczną grupę społeczną, która może mieć wpływ na to, co się dzieje w kraju. Potwierdzeniem tego były ubiegłoroczne wybory powszechne, kiedy to ich przywódca, Jagjivan Ram, nie zgadzając się z polityką Indiry Gandhi, opuścił szeregi Partii Kongresowej i założył własne ugrupowanie polityczne. Jak wiadomo Partia Kongresowa wybory przegrała, niedotykalni swego poparcia udzielili Janacie. Pariasi udowodnili nie tylko tej ,,lepszej" części społeczeństwa hinduskiego, ale również sobie, że stanowią siłę, z którą należy się liczyć. Jednak walka z kastowością w Indiach będzie długa. (mj)

Z mgr Hanną Krzyżanowską oraz dr. hab. Krzysztofem Pawłowskim z Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki rozmawia Teresa Maciszewska

ABY NIE BYŁY BEZPAŃSKIE

— Ponieważ już od trzech lat organizujemy wspólnie konkurs dla miłośników przeszłości tej dalekiej i tej zupełnie bliskiej, i zanosi się na to, że będziemy go prowadzić dalej, mam do państwa kilka pytań. A więc po pierwsze: czy w ogóle cała sprawa udziału młodzieży w ochronie zabytków traktowana jest poważnie? Bo czasami podejrzewam, że dorośli traktują to jako niezobowiązującą do niczego zabawę z dziećmi?

Krzysztof Pawłowski: – Wprost przeciwnie! Sprawa jak najliczniejszego udziału młodzieży w ruchu ochrony zabytków jest niezwykle wysoko ceniona na forum międzynarodowym, zarówno w UNESCO, jak i w Międzynarodowej Radzie Ochrony Zabytków (ICOMOS). Np. niebawem odbędzie się we Francji kolokwium pod hasłem ,,Młodzież a ochrona zabytków", wcześniej podobne spotkania organizowane były m.in. na terenie NRD. To chyba zrozumiałe, że bez wychowania młodych ludzi w duchu poszanowania pomników przeszłości, nie ma co liczyć na rozsądną ich w tej mierze postawę w przyszłości, gdy osiągną wiek dojrzały i zajmą poważne stanowiska.

– U większości z nas słowo zabytek wywołuje określone skojarzenia – najczęściej myślimy wtedy o starym, zrujnowanym zamczysku, ewentualnie o kawałku średniowiecznego muru...

K. P: – No właśnie, a przecież zabytek to nie tylko obiekt ruchomy lub nieruchomy, lecz również ich zespół, lub nawet miejsca stanowiące świadectwo zdarzenia, mające wartość historyczną, naukową, kulturalną i artystyczną, i z tej racji podlegające ochronie prawnej. Należą więc do nich zarówno XIX-wieczne zabudowania przemysłowej Łodzi, jak i cmentarze, przydrożne kapliczki, wiatraki, dawne urządzenia techniczne oraz przemioty kultury materialnej – ozdoby, narzędzia, stroje.

Chcielibyśmy także uświadomić wszystkim fakt, że bardzo często cenne zabytki świadczące o historii czy tradycji danego regionu znajdują się tuż, tuż, niemal w zasięgu ręki, tylko, niestety, mało kto o tym wie. Kiedyś będąc na Śląsku postanowiłem obejrzeć ruiny zamku w pewnej miejscowości. Pytam więc przygodnie napotkaną grupę młodzieży: gdzie tu jest zamek? A oni mi na to: Jak to gdzie? W Warszawie!

– Znalezienie odpowiedniego, bogatego wujka dla opuszczonych i zaniedbanych zabytków jest jednym ze sposobów na uratowanie ich przed ostateczną rozsypką. Jednakże mimo wielu udogodnień i fachowej pomocy ze strony państwa, ciągle jeszcze straszy pustką niemała ilość bezpańskich obiektów. Nie mam tu, rzecz jasna, na myśli potężnych zamków czy raczej niekiedy smętnych ich resztek, lecz owe niewielkie pałace, wiatraki czy zabudowania dworskie. Czyżby potencjalnych amatorów odstraszały wysokie wymagania służby konserwatorskiej?

K. P: – Nie sądzę, bo chętnych do wzięcia zabytku bynajmniej nie brakuje, tyle tylko, że z kolei my nie jesteśmy w stanie sprostać wszystkim ich wymaganiom. Owszem – powiada ten czy ów kandydat na użytkownika – zagospodarujemy jakiś historyczny obiekt, ale pod warunkiem, że w pobliżu będzie las i woda, a całość położona w jakimś pięknym parku, no i rzecz jasna, nie za daleko od Warszawy...

Niejednokrotnie też trzeba odrzucać nęcące propozycje bogatych przedsiębiorstw, które planują wprowadzenie daleko idących przeróbek. Np. podzielenie ogromnych, parterowych pomieszczeń na kilkanaście maleńkich pokoi hotelowych, na co z kolei nie waraża zgody konserwator, gdyż zniszczą one dawną architekturę budynku. Nie pozbywamy się więc zabytku za wszelką cenę!

– Ale centralne ogrzewanie instalować wolno?

Hanna Krzyżanowska: – Oczywiście, nawet trzeba! Gaz, centralne, kanalizacja, są jak najbardziej pożądane.

K. P: – Trudno przecież wymagać od właściciela wiernego odtworzenia pierwotnego wyposażenia, bo to przecież niemożliwe.

– Który z regionów kraju wyróżnia się w tej opiekuńczej akcji szczególnie?

H. K: – Wielkopolska, tj. obecne województwo poznańskie, leszczyńskie i pilskie. Doskonałymi opiekunami okazały się tu gospodarstwa rolne, które włożyły masę pracy w odbudowę licznych dworków czy pałaców, otwierając w nich potem bazy turystyczne, gastronomiczne, czy wreszcie organizując ośrodki wypoczynkowe i wczasy w siodle. Bardzo dużo w tym zakresie robi również woj. bydgoskie. Została tam nawet powołana przez Zjednoczenie PGR pierwsza w Polsce brygada wykonawcza, remontująca przejmowane na własność obiekty.

– Jakoś nic nie wspominacie państwo o udziale młodzieży...

H. K: – Co nie znaczy, że tego udziału nie ma! Wśród laureatów ubiegłorocznego konkursu na najlepszego użytkownika zabytków, organizowanego przez Generalnego Konserwatora, znalazły się cztery szkoły: Szkoła Podstawowa w Jasionnej (woj. sieradzkie), Zespół Szkół Rolniczych w Komornie (woj. opolskie), Państwowe Technikum Rolnicze w Płotach (woj. szczecińskie) oraz Gminna Szkoła Zbiorcza w Wiśniowej (woj. tarnobrzeskie). Dyrekcja i uczniowie szkoły w Jasionnej dbają nie tylko o porządek wewnątrz samego budynku, lecz również mnóstwo czasu poświęcają na porządkowanie zabytkowego otoczenia.

K. P: – Dobrze, że pani o tym wspomniała, albowiem ochrona zabytkowych parków i ogrodów ciągle jeszcze traktowana jest zbyt dowolnie. Najczęściej bowiem bywa tak, że dworek remontuje się, dogląda, hołubi, a stan otaczającej go zieleni pozostawia wiele do życzenia. A przecież obydwa te elementy – dziedzictwa kulturalnego i naturalnego – są jednakowo ważne, gdyż wspólnie tworzą w krajobrazie jednolitą całość.

– W działaniach, o których mówimy, nie wszystko zapewne przebiega bez zgrzytów i komplikacji...

H. K: – Na ogół w opiekę nad zabytkami angażują się instytucje i osoby prywatne, poważnie traktujące swoje obowiązki, chociaż zdarzają się niestety właściciele, którzy nie wykazują należytego zainteresowania powierzonym im obiektom, a czasami wręcz go dewastują. Na szczęście w Prokuraturze Generalnej powołano ostatnio specjalną komórkę, która czuwa nad prawidłowym wykorzystaniem zabytków, zaś wiceprokuratorzy wojewódzcy zobowiązani zostali do ścisłej współpracy ze służbą konserwatorską. Biorą więc udział w okresowej lustracji obiektów, sprawdzają sposób ich użytkowania, wydają nakazy remontów, a w razie uporczywego uchylania się właściciela od swoich obowiązków, kierują sprawę do sądu. Skończyły się więc czasy, kiedy wniosek konserwatora o ukaranie winnego zaniedbań umarzano z powodu niskiej szkodliwości społecznej czynu. Istnieją więc coraz większe szanse, że rzadziej będziemy spotykać ruiny powstałe współcześnie, z winy nieudolnych, bądź nieuczciwych ,,mecenasów".

– Dziękując państwu za rozmowę, mam nadzieję, że nasza współpraca i działania podjęte wspólnie z czytelnikami będą miały w ruchu ochrony zabytków, swój liczący się udział.

TERESA MACISZEWSKA
Fot. Marek Szymański

Mgr Hanna Krzyżanowska i doc. Krzysztof Pawłowski: *,,Chcielibyśmy, aby miłośników przeszłości i prawdziwych opiekunów zabytków było jak najwięcej..."*

Dobrze się bawicie, prawda?

– Druhno komendantko! Wizytacja przyjechała! Samochód zostawili na szosie i idą przez las. Jeden duży, drugi mały. Tylko ten mały idzie pierwszy, chyba ważniejszy...

– Kasiu, bierz zastęp ,,Fiołków" i pędźcie po kwiatki! Dwa bukieciki. Nie – trzy! Na wszelki wypadek...

– Ale w pobliżu obozu nie ma już kwiatków...

– Biegnijcie dalej, ale żywo! Oboźna – alarm mundurowy, pełna gala! Heniek i Bogdan, zmykajcie w las; bez mundurów was nie pokażę... Marysiu, sprawdź czy kucharki zmieniły fartuchy. Gdzie druhna kwatermistrz?! Niech będzie w pogotowiu. Gdzie mój beret?!

– Witam druhów serdecznie w progach naszego obozu. Jest nam ogromnie miło, jesteśmy zaszczyceni – (no podnoś gamoniu szlaban, wizytatorzy nie będą przecież zginać karków) – szkoda tylko, że nikt nas uprzedził – (Kasiu, na co czekasz, wręczże te kwiatki!) – o wizycie tak dostojnych gości.

– Kiedy my nie wizytacja, tylko...

– Nie wizytacja?... Haniu, odwołaj alarm i zastępami maszerujcie do normalnych zajęć. Nareszcie chwila spokoju! A panowie w jakiej sprawie?

– My z rajdu rowerowego ,,Świata Młodych". Chcemy rozbić w pobliżu biwak. Jeśli można...

– Jak nie wizytacja – to dziennikarze! Ale proszę, miejsca tu dużo. Zapraszam później do siebie.

Z komendantką, już w ,,cywilu", zasiedliśmy w przytulnej obozowej harcówce. Po wymianie zdań o kapryśnej pogodzie, przeszliśmy do obozowych realiów.

– Od rana zastępy miały wyruszyć na bieg patrolowy. Dzieciaki bardzo lubią tę grę, ale te wizytacje... Ledwie minęło południe, a już cztery wpisy w książce pracy obozu. Brak już w niej miejsca na ,,twórczość" następnych wizytacji.

Ostatni wpis jeszcze świeżutki. Nie doczytałem do końca pochlebnych zdań, kiedy za namiotem zawrzało.

– Druhno komendantko! Brązowy fiat – chyba wizytacja...

Komendantka wypadła z namiotu i po chwili dotarły do nas znane komendy. Biegnącemu już po kwiatki zastępowi Kasi w ostatniej chwili podrzuciliśmy otrzymane wcześniej bukieciki. Wizytatorzy nie poznają chyba, że już były wręczane...

Do końca dnia przybyły jeszcze trzy wizytacje. Za każdym razem Kasia z zastępem biegła po kwiatki, komendantka bluzkę i dżinsy w dziesięć sekund zamieniała na mundurową galę, kucharki z wprawą żonglerek jedną ręką mieszały zupę, a drugą wciągały ,,wizytacyjne" fartuchy. Tylko druhna kwatermistrz spokojnie zajmowała pozycję za namiotem-harcówką, w każdej sekundzie gotowa wkroczyć do akcji. Dziewczęta i chłopcy tak się wycwanili, że po każdej wizycie ,,drogich wizytatorów" swetry na mundury wciągali, by w razie czego szybko je zdjąć i ,,być w mundurowej gali".

Z zapisków w książce pracy obozu wynikało, że program był ,,realizowany prawidłowo i w pełni". Święta prawda! W pełni wizytacyjnego rozgardiaszu...

Na rozległej polanie setka rozbawionych dzieciaków. Nawet panie kucharki zapomniały o gotującym się makaronie i uczestniczą w zabawie. Za chwilę do akcji wkroczy...

– Druhno komendantko! Wizytacja!!

Tak. Wkroczyła wizytacja i wspaniałą zabawę diabli wzięli!

Druhno oboźna! Alarm mundur...

– Nie!!! Tylko nie alarm, nie mundurowanie, zbieranie i wręczanie kwiatków! Może druh wizytator ma dzieci i zrozumie, że lubimy się bawić, a nie witać i żegnać bez końca!

Koniec harcerskiego lata i koniec obozów. Z wielu uczestnicy wywieźli zapewne wspaniałe przeżycia, ale dla wielu harcerski obóz długo kojarzyć się będzie z dobrodusznymi obliczami wizytatorów protekcjonalnie poklepujących Jasia i Małgosię po rumianych buziach i... – ,,Dobrze się bawicie, prawda?"

Być może będą się bawić w... wizytatorów, jak w ekspedientki i lotników-kosmonautów. Tyle, że te ostatnie role lubią...

Pomyślisz Czytelniku, że to fikcja. Otóż nie. Fakty, może nieco zabarwione, miały miejsce na harcerskim obozie w Czerwonej Woli. W ciągu kilku dni obóz ten odwiedziło dwanaście różnych wizytacji, a trzynasta była już w drodze.

RYSZARD RATAJCZYK

Nie da się ukryć, czas szybko leci. Gdzie tam szybko, wręcz – błyskawicznie. Dopiero co rozpoczynaliśmy nasze wspólne Wakacje Kwiatów i Przygód, dopiero co ogłaszaliśmy „tydzień pod stokrotką", a już nadeszła chwila... rozstania. Rozstania z wakacjami i przygotowania się do powitania szkoły. Za którą – co tu dużo mówić – każdy się trochę stęsknił, prawda?! Nie ma natomiast mowy o rozstaniu z wakacyjną paczką, chcemy Wam bowiem zaproponować, abyście w składzie Waszego wakacyjnego zastępu działali dalej, co najmniej do... przyszłych wakacji.

Za symbol tego tygodnia nie obieraliśmy pojedynczego kwiatka. Ponieważ będzie on poświęcony wakacyjnym wspomnieniom, doszliśmy do wniosku, że najlepszy będzie wielki kolorowy bukiet złożony z kwiatków patronujących poprzednim tygodniom, do którego można dołożyć i inne kwiaty, już jesienne.

Wakacyjna Kapsuła Przyszłości

ZADANIE NR 1

Kapsuła Przyszłości

Kapsuła przyszłości, to – jak można się z tytułu już domyśleć – rodzaj przesyłki w... przyszłość. Nadawcami jej będziecie Wy, Wasz zastęp, a odbiorcami – kto wie, co się może zdarzyć w przyszłości. Może również Wy, a może kto inny.

Sama kapsuła, to jakiś pojemnik wykonany z trwałego materiału (spory słoik, metalowa puszka) napełniony... Waszym zastępem. Oczywiście w przenośni, chodzi o to, żebyście zapakowali do niej coś, co stanowić będzie wizytówkę Waszego zastępu. Może to być rodzaj listu, w którym opiszecie Wasze wakacyjne przeżycia Anno Domini 1978, możecie (o ile macie) włożyć tam Wasze zdjęcia, zasuszone kwiatki będące symbolami poszczególnych tygodni, jakieś inne pamiątki z tegorocznych wakacji. Zastanówcie się, co byłoby najlepsze, najwięcej o Was mówiące. Całą przesyłkę musicie bardzo starannie zapakować w torebkę foliową, a dopiero potem włożyć do pojemnika i szczelnie go zamknąć.

Kapsuła jest już gotowa, teraz musi nastąpić najważniejszy moment, moment jej ekspedycji. Proponujemy, abyście zakopali ją w jakimś Wam tylko znanym miejscu. Obrządek zakopywania kapsuły połączcie z kameralnym wieczornym ogniskiem zastępu – powinno się to odbywać bardzo uroczyście i nastrojowo. Umówcie się, że spotkacie się w tym samym miejscu tego samego dnia i o tej samej godzinie za lat – powiedzmy – 5 i spróbujecie odkopać Waszą kapsułę. Może to być ogromnie miłe spotkanie.

ZADANIE NR 2

Zwycięzca poszukiwany

Umawialiśmy się w tygodniu „pod groszkiem pachnącym", że pod koniec wakacji powtórzycie organizowany wtedy sprawdzian sportowy. Odszukajcie swoje zapiski z zanotowanymi wówczas wynikami, porównajcie je z wynikami uzyskanymi przez każdego z Was w tej chwili. I jak to wygląda, kto z Was najbardziej poprawił w czasie wakacji swoje sportowe rezultaty? Przyznajcie mu tytuł Wakacyjnego Mistrza Sportu. Nie zapomnijcie o dekoracji zwycięzcy, warto z góry przygotować jakiś zabawny medal oraz wieniec z liści – zamiast laurowych mogą być np. dębowe.

ZADANIE NR 3

I co dalej?

Wakacje dobiegają końca, fakt, ale nie powód to, aby automatycznie niejako przestał istnieć Wasz wakacyjny zastęp. Proponujemy, abyście w dalszym ciągu działali razem jako normalny zastęp harcerski w Waszej drużynie. Nawet ci, którzy skończyli już ósmą klasę i rozpoczną naukę w innych szkołach, też przecież mogą utrzymywać z nim mniej lub bardziej (to zależy od tego, gdzie znajduje się ich nowa szkoła) kontakt. Macie zresztą niebagatelną szansę pobić na głowę inne zastępy – taki dziesięciotygodniowy wakacyjny trening to przecież nie byle co, poznaliście się doskonale, nauczyliście się wspólnie działać.

Zastanówcie się nad tą propozycją któregoś dnia, zaplanujcie przy okazji kilka pierwszych wrześniowych zbiórek. W nowy rok nie od rzeczy jest wchodzić z konkretnymi planami.

ZADANIE NR 4

Witaj szkoło

To propozycja jednego z takich konkretnych zadań stojących niejako na pograniczu – wakacji i nowego roku szkolnego. Bądźcie w Waszej szkole organizatorami powitania dla nowych uczniów, pierwszoklasistów. Jest to tym bardziej ważne zadanie, że będą to pierwsi uczniowie nowej, dziesięcioletniej szkoły średniej. No a poza tym – maluchy. Zagubione i nieco przestraszone nowym środowiskiem. Z miejsca lepiej się poczują, gdy zajmą się nimi serdecznie starsi koledzy, Wy.

W przygotowaniu takiego powitania pierwszoklasistów możecie z powodzeniem wykorzystać własne doświadczenia z prowadzenia „zielonego przedszkola", z organizowanych przez Was imprez sportowych i kulturalnych – powinien to być przecież rodzaj wesołej zabawy, takiej, po której nowo upieczony uczeń od razu polubi swoją szkołę.

Gdy będziecie mieli przygotowany wstępny plan tego, co chcielibyście zorganizować dla pierwszaków – porozumcie się z drużynowym drużyny harcerskiej przy Waszej szkole, z wychowawcą pierwszej klasy lub z dyrektorem szkoły. Wasze propozycje muszą bowiem zostać „wmontowane" w całą uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Na pewno zostaną przyjęte z dużym zadowoleniem.

ZADANIE SPECJALNE NR 10

Polega ono w tym tygodniu na podarowaniu przez Wasz zastęp ogromnego i bardzo kolorowego bukietu kwiatów najbardziej przez Was lubianemu i szanowanemu nauczycielowi. Bukiet ten wręczacie – rzecz jasna – w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. W meldunku napiszcie kto jest Waszym ulubionym nauczycielem (imię, nazwisko, numer szkoły, jakiego przedmiotu uczy), za co go tak lubicie, czym wzbudza Wasz szacunek, w czym chcielibyście być do niego podobni.

UWAGA! Niezależnie od możliwości zdobycia punktów zaliczanych do KONKURSU 49, **najciekawsze listy o Waszych ulubionych nauczycielach wykorzystamy w druku w „Świecie Młodych" w Dniu Nauczyciela.**

Meldunki nadsyłajcie – jak zwykle – pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie: KONKURS 49 oraz namalowanym lub wyciętym z gazety i naklejonym wizerunkiem kolorowego bukietu różnych kwiatów. **Autorzy pierwszych 50 meldunków – zdobywają dla swojego województwa punkty w KONKURSIE 49!**

KONKURS 49

Aby jednak obliczyć całość wyników tegorocznego KONKURSU 49, musi upłynąć trochę czasu. Np. meldunki z realizacji dzisiejszego zadania specjalnego otrzymamy najwcześniej za tydzień, a „Świat Młodych" drukuje się dwa tygodnie. Dlatego chciałbym umówić się z Wami, że **ostateczne rezultaty KONKURSU 49 podam w numerze 103 „Świata Młodych" z dnia 5 września br. (wtorek).** W tym samym numerze podam rezultaty ogłaszanego w tygodniu „pod różą polną" konkursu historycznego i poinformuję jego uczestników, czy plon tego konkursu pozwoli na zorganizowanie wspominanej ewentualnie sesji historycznej.

A zatem – na razie nie żegnam się z Wami. Życzę Wam, aby ostatni z wakacyjnych tygodni był najlepszy, najciekawszy, najcieplejszy, najweselszy, naj..., naj..., naj...

SZEF REDAKCYJNEGO SZTABU NAL

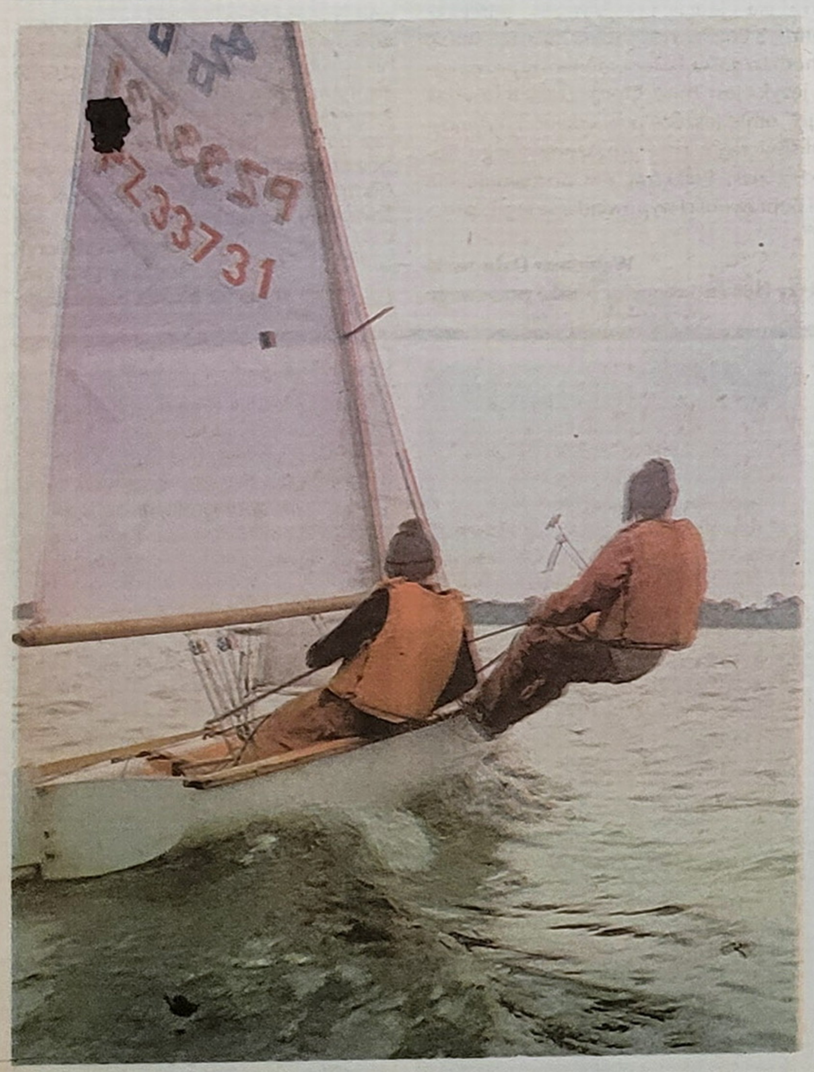

Na jeziorze Dargin wyżywają się wodniacy Warszawskiego Pałacu Młodzieży. Trzeba przyznać, że potrafią żeglować

Na ten obóz trzeba samemu zarobić

JEZIORO DLA ŚMIAŁKÓW

Jezioro Dargin lubi śmiałków. Kiedy jachtami wypływają na jego wody, nawet w głębokich miejscach pokazuje im swoje tajemnice; usłane muszlami dno, a czasami i szczupaka-olbrzyma przyczajonego przy trzcinach. Wiatr też sprzyja odważnym, cały dzień pracowicie dmucha w ich żagle, przycicha dopiero pod wieczór. Jakby chciał razem z uczestnikami obozu wysłuchać hejnału żegnającego znikające w otchłani słońce. Kryształowe wody jeziora otoczone są starymi, pełnymi jagód i grzybów borami. Tak, tak. Przyroda nie poskąpiła tu niczego...

Właśnie tam, kilometr zaledwie od Pieczarek, na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, rozbiła swoją stanicę brać Warszawskiego Pałacu Młodzieży. Własnymi rękoma wyremontowali zakupione stare budynki gospodarcze, według własnych planów i pomysłów zbudowali jachtowy port. Podobno najpiękniejszy na całym Pojezierzu. Zastępca dyrektora Pałacu Młodzieży, pan Jerzy Podlaski, nie ukrywa, że jeszcze sporo roboty zostało przy rozbudowie ośrodka. Ale to żaden kłopot – mówi. – Chętnych do pracy jest aż nadto. Każda sekcja PM ma tu swoje „działki". Na przykład radiowcy wciąż doskonalą radiowęzeł, żeglarze modernizują wnętrze hangaru. Inni też nie próżnują. Nikt jednak nie narusza naturalnego stylu budynków i otoczenia. Wtopione w piękny krajobraz, pozostaną takie jak dawniej.

Już od piętnastu lat ściągają do Pieczarek. Słynnemu „pieczarkowaniu", czyli ceremoniałowi przyjęcia w poczet bywalców obozu, poddało się na przestrzeni tego czasu ponad 10 tys. warszawiaków. Co roku są serdecznie witani przez stałych mieszkańców osady. Bo i przy żniwach pomogą, i w innych gospodarskich zajęciach, bo zaproszą na ognisko, na sportowy festyn, bo przygarną do obozu miejscową dzieciarnię...

Jednak sami muszą zapracować na ten wyjazd. Przez okrągły rok funkcjonuje w pałacowych sekcjach system ciekawej punktacji. Każdy za wykonywane w PM zadania, za własne inicjatywy, za nienaganną postawę, za koleżeńskość, może zarobić wiele punktów. A punkt to... 1 procent zniżki przy opłacie za wakacyjny obóz. Są tacy, którzy tych punktów zebrali aż 100. Nie trzeba chyba dokonywać dalszych przeliczeń.

Jezioro Dargin lubi śmiałków. Należą do nich pływacy-maratończycy, walczący w dorocznej Błękitnej Wstędze. Ostatnio zdobył ją pionier z Czechosłowacji. „Pałacowi" obiecują srogi rewanż. Do śmiałków zaliczają się też pasażerowie „dezety", największego w stanicy jachtu – pieszczotliwie zwanego „wodnym tramwajem". Pierwsze żeglarskie kroki zawsze wymagają odwagi. To nic, że może trochę za często wiatr chlustał chłodną tego lata wodą, to nic, że instruktor kazał nowicjuszom zbierać do worka kilwater, który jak wiadomo jest śladem pozostawionym przez płynącą łódź... Do domu wracają z żeglarskimi patentami.

Czasami straszył „pieczarkowców" duch Konopki, byłego właściciela okolicznych ziem, którego przewrotna żona, jak głosi legenda, weszła w komitywę z samym Lucyperem. Ale duch straszy tylko na lądzie i podobno same dziewczyny. Ubrany w białe prześcieradło, chodzi po dawnych włościach, najczęściej świecąc sobie elektryczną latarką kieszonkową. Ostatnio ukazał się na starym cmentarzu. Tym razem w ręku trzymał świecę. Widzieli go i słyszeli wszyscy uczestnicy nocnej gry. Dziękował „pałacowym" za opiekę nad okolicą. Jedna z dziewczyn próbowała go nawet dotknąć. Nic z tego nie wyszło. Duch zgasił świeczkę i rozpłynął się w ciemności. Powiedział jeszcze, że za rok znowu przyjdzie. A więc do następnego spotkania.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **autora**

GDZIE ROŚNIE DĄB ZE... STUZŁOTÓWKI?

Babsko – wieś położona w województwie skierniewickim – słynie z cennych skarbów ojczystej przyrody. Znajduje się tutaj jedno z największych w Polsce Środkowej skupisk starych i okazałych drzew, wśród których prym wiodą dęby. Babskie dęby liczą sobie około 400–500 lat. Najstarszy i najpotężniejszy z kilku olbrzymich okazów tych drzew, rosnących w miejscowym parku, ma prawie 7,5 m w obwodzie i należy do grupy dziesięciu największych dębów w kraju.

Pomimo „sędziwego" wieku, wszystkie babskie dęby są na ogół zdrowe, dorodne i naprawdę wyjątkowo piękne. Jak wspominają starsi mieszkańcy Babska i okolic, jeden z tutejszych dębów zyskał sobie przed laty popularność szczególnego rodzaju. Stało się to w ten sposób, że jego potężna sylwetka została odwzorowana w okresie międzywojennym na banknocie stuzłotowym.

Dziś wizerunek babskiego dębu z przedwojennego banknotu znajduje się w kolekcji niejednego zbieracza, a żywy dąb w dalszym ciągu zdobi miejscowość Babsko i jest powodem dumy mieszkańców wsi. **(szub.)**

– To bardzo dziwne drzewo – mały, kędzierzawy chłopaczek w harcerskim mundurku przystaje obok rozłożystego wiązu. – Nie ma takiego drugiego w okolicy. Jest najstarsze i największe, wyrasta niby wyspa na oceanie. Ludzie we wsi powiadają, że zasadziła je wiedźma ze sto lat temu, albo i więcej. Mieszkała w walącym się domu za wsią. Lekarka była, no, znała się na różnych chorobach i zioła potrafiła odpowiednio przyrządzać. To ona zasadziła to drzewo. Inne już dawno poschły, a to wciąż rośnie i nie próchnieje. Straszono nią nasze babcie, gdy nie słuchały rodziców, że nocą na miotle przyleci.

Dalszą opowieść Janusza, zastępowego „Piratów", przerywa okrzyk ukrytego w gęstych chaszczach wartownika:

– Stój, kto idzie?

– Czerwony Pies po Złote Sacramento – odpowiada Janusz umówionym hasłem.

– Lina po naszej stronie! – odkrzykuje wartownik.

Jeszcze parę kroków i stajemy nagle nad niewielką rzeczką. Oznaczoną czerwoną wstążką linę Janusz chwyta z niezwykłą zręcznością. Krótki rozbieg i już jest po drugiej stronie, niemal u wejścia do świetnie zamaskowanej gałęziami bazy zastępu.

Zastęp „Piratów" liczy dzisiaj 8 osób. Kiedy pierwszego dnia wakacji Janusz organizował swój zastęp, tylko czterech chłopaków ze wsi wyraziło chęć zapisania się. Reszta wymawiała się obowiązkami w gospodarstwie rodziców, brakiem czasu itd. Ale tak naprawdę to nie bardzo wierzyli, że wakacje tutaj, na miejscu, też mogą być ciekawe. Co ten Janusz potrafi innego wymyślić, też na

TAJEMNICA STARYCH RUIN

pewno będą pracować przy żniwach, tyle że wspólnie, więc chyba lepiej pojechać na kolonie. Zawsze to inne miejsce, nowe i bardziej atrakcyjne. Działał więc zastęp w pięciu. Dopiero w połowie wakacji, gdy na wspólnej zbiórce kilku zastępów Janusz opowiedział o sprawie, którą się teraz zajmują, chłopaki zaczęli się dopytywać, a co, a jakie tajemnice i... na następną zbiórkę zastępu przyszli już wszyscy oporni.

A właśnie na początku wakacji zastęp wpadł na ślad pewnej tajemnicy. Kiedyś, w czasie jednej z wakacyjnych wypraw zastępu, znaleźli się na miejscu, gdzie przed laty stał stary, drewniany dom. Nie było już prawie po nim śladu. Jakieś zmurszałe bale, trochę białego kamienia po piecu, no i to ogromne drzewo.

Dziwne to było miejsce. Niby niedaleko od wsi, ale mała dolinka, w której kiedyś stał dom, gęste krzaki i mały strumyk sprawiały wrażenie ciszy i odosobnienia.

– Ciekawe, co tu kiedyś było? – Marek wyciągnął aparat fotograficzny.

– Może by tu bazę założyć – zastanowił się Janusz.

– E, może lepiej nie – skrzywił się najmłodszy jedenastoletni Zbyszek – i dziwnie tu jakoś.

I rzeczywiście miał rację. Niby przez miedzę, a nigdy tu nie byli. Od rodziców też nie słyszeli nic o tych zagadkowych ruinach. Byli coraz bardziej pewni, że kryje się tu jakaś tajemnica. Postanowili założyć bazę możliwie najbliżej tej dolinki i na całego zająć się sprawą.

Na początku postanowili delikatnie wybadać rodziców, że byli, coś tam widzieli, tylko nie bardzo wiedzą co, i że tak specjalnie to ich nawet nie interesuje, tylko tak zwyczajnie chcieliby wiedzieć. Ale rodzice nic ciekawego nie wiedzieli. Tylko tata Zbyszka pamiętał, że słyszał od swojej babci o jakiejś starej czarownicy, co mieszkała kiedyś za wsią i nigdy nikomu nie lubiła się pokazywać, i że podobno uroki na ludzi i bydło miała rzucać. To już było coś.

– Wiadomo czego się trzeba trzymać – stwierdził na odprawie zastępu Janusz.

– Może lepiej zostawić sprawę w spokoju – Zbyszek wciąż nie był przekonany o potrzebie zgłębiania tej dziwnej sprawy. – Podobno rzucała uroki, więc może i to miejsce też jest zauroczone – dodał nieśmiało.

– Nie siej cykorii, Zbyszek – głos Janusza był zdecydowany. – Jakie tam uroki...

Mijały dni, a sprawa niewiele posunęła się naprzód. Rwały się nitki biegnące do kłębka. Ten nie pamiętał, tamten nic nie wiedział, inny nie miał czasu. Sporządzili wprawdzie hipotetyczny bieg wydarzeń, ale wciąż była to tylko hipoteza. Miała to być samotna kobieta, mieszkająca z dala od wsi. Tyle wyczytali ze śladów zabudowań. Nie miała chyba przyjaciół ani nawet znajomych, bo ktoś by ją we wsi pamiętał. Znała się na pewno na ziołach i medycynie ludowej. Pewnie umiała trochę leczyć. Niewiele to było jak na miesiąc poszukiwań. Ale sprawa ich zafascynowała i pociągała coraz bardziej.

Aż pewnego dnia, gdzieś na początku sierpnia, wybuchła bomba. Zbyszek, zdyszany i spocony, jak huragan wpadł do bazy zapominając o umówionych hasłach. Nim się uspokoił i wszystko spokojniej wyjaśnił, krzyczał tylko: „Znalazłem". I faktycznie znalazł, a właściwie spotkał.

– Spotkałem ją. To stara kobieta, ma pewnie ze 60 lat, albo i 70 – dodał przejęty i dumny, że to jemu przypadło w udziale wyjaśnienie zagadki. – Ona zna tę „naszą" i wcale nie nazywa jej czarownicą, ani dziwaczką tylko Józefą, i umówiłem się z nią na popołudnie.

Opowieść siwiutkiej kobiety była spokojna i jakaś smutna. Ta „czarownica" nazywała się naprawdę Józefa i była autentycznym lekarzem. Jako młoda dziewczyna wyjechała ze wsi gdzieś w świat. Nie było to wówczas takie łatwe jak dzisiaj. Czasy były trudne. Polska pod zaborami. Ale dziewczyna była młoda i uparta. Skończyła studia medyczne we Lwowie, potem jakiś czas wędrowała po kraju w poszukiwaniu pracy, ale ludzie nie mieli jakoś zaufania do lekarza kobiety. Rozczarowana i rozgoryczona, wróciła po latach do rodzinnej wsi i zamieszkała w starym domu z dala od wszystkich. Zbierała zioła, pomagała chorym i stale czytała jakieś książki.

Tyle opowiedziała chłopcom staruszka. Znała dobrze Józefę, bo gdy była małą dziewczynką, skaleczyła sobie nogę. Noga spuchła, zaczęło się zakażenie. Wtedy rodzice zawieźli ją do Józefy i dziewczynka wróciła do zdrowia. Potem odwiedzała ją często i Józefa, starsza już wówczas kobieta, opowiedziała jej swoje losy.

– **Właściwie to już wszystko** – Janusz kończy swoją opowieść. – **Tajemnica przestała być tajemnicą. Szkoda tylko, że nikt o tej lekarce dzisiaj nie pamięta. Ale zajmiemy się sprawą, już na pierwszej zbiórce drużyny przekażemy ją innym. Ta tajemnica nie może być tylko nasza...**

KRZYSZTOF NIEDŹWIECKI

IV RAJD ROWEROWY 30-LECIA „ŚWIATA MŁODYCH"

CHOĆ BURZA HUCZY WKOŁO NAS...

Tak wygląda Collegio laico Villa Perla, skąd przybyli nasi mili włoscy goście

... Można by śpiewać o naszym rajdzie. Albo inną piosenkę morską. „Więc popłyńmy raz jeszcze... fala rower zalewa..."

Aż dziw, że wszyscy zdrowi, mimo stale mokrych rowerów i nóg, mimo spania pod namiotami, kiedy temperatura powietrza wynosi około 12°.

W Puławach rozbijamy biwak na terenie Chorągwianej Szkoły Instruktorskiej – Lubelskiej Chorągwi ZHP. Obok nas stoją namioty, w których mieszka 40 dziewcząt i chłopców, włoskich pionierów z Collegio laico Villa Perla. Wieczorem mamy wspólny kominek z okazji święta 22 Lipca, a równocześnie pożegnalny dla wyjeżdżających Włochów. Śpiewamy na przemian z włoskimi kolegami piosenki.

Ale tu – sensacja! Kominek prowadzi druhna phm Hanna Dzióbek, instruktor zuchowy szczepu im. Karola Świerczewskiego przy Szkole Podstawowej nr 8 w Lublinie. Skąd my się znamy!? Tak, oczywiście, dzisiejsza poważna druhna, to 5 lat temu, na imprezie z okazji 25-lecia „Świata Młodych", która odbyła się w Lublinie – dziewczynka, której narysowałem Tytusa w pamiętniku z dedykacją: „Milemu słodkiemu dzióbkowi". Ho, ho, jak to ten czas płynie, a ludzie poważnieją!

Z Puław zrobiliśmy statkiem wycieczkę do Kazimierza. Napatrzyliśmy się na Wisłę, jeszcze półdziką, zwiedziliśmy co się dało w Kazimierzu. Między tzw. opadami atmosferycznymi, opychając się słynnymi bułkami kazimierzowskimi w kształcie kogutów, przeszliśmy przez wąwóz lessowy wychodząc na Górę Trzech Krzyży. Wdrapaliśmy się na wieżę zamkową i po

Kazimierz to nie tylko piękna architektura, ale i atmosfera dawnych czasów podtrzymywana przez obsiadłe rynek stragany.

smacznym obiedzie w restauracji PTTK w Spichlerzu, zadowoleni do... suchej nitki wróciliśmy na statek.

PAPCIO CHMIEL

Fot. **H. Chmielewski**

MINÄ RAKASTAN SINUA

Umiejętności fryzjerskie przydają się na rajdzie. Nasi fińscy goście skracają sobie włosy sami. Leena jest klientem, Marja fryzjerem. Za chwilę będzie odwrotnie.

To znaczy – kocham cię. Trójka uczestniczących z nami w rajdzie fińskich przyjaciół – Leena, Marja i Timo – dostarcza nam wiele uciechy. Powodem jest to, że nie bardzo potrafimy się porozumieć w mowie: oni nie znają innego języka poza fińskim (jedynie Leena mówi troszeczkę po angielsku, niemiecku i rosyjsku), a my w tej sytuacji (mimo znajomości wielu języków) nie potrafimy wymyśleć takiej mowy, która byłaby w tej sytuacji przydatna. Uwierzcie nam jednak, że z naszymi gośćmi rozumiemy się doskonale. Najczęściej używamy naszego „rajdowego języka", to znaczy – rosyjsko-angielsko-francusko-niemieckiego, a przede wszystkim – rąk. Uczestnicy rajdu tak się już do tego super-języka przyzwyczaili, że sami między sobą... też się nim posługują.

Wszyscy jednak uczestnicy rajdu postanowili poznać język fiński. I trzeba przyznać, że kilka osób, po dwunastu dniach zna już po kilka słów. W poznawaniu fińskiego celują Mariola i Kaśka, które informują niniejszym że: namiot – to znaczy telita, rowery – pyöräilla, piosenka – laulaa, przepraszam – anteeksi, dziękuję – kiitos, a kocham cię – minä rakastan sinua.

Jeśli zaś chodzi o gości, to fenomenem w poznawaniu naszego języka jest Timo. Oprócz takich słów jak np. „dziękuję" umie jeszcze powiedzieć: „Wyindywidualizowaliśmy się z rozentuzjazmowanego tłumu" i... nikt z nas, Polaków, nie dorównuje mu w szybkości i poprawności wypowiadania tego „prostego zdanka".

Waldemar Dąbrowski
niższy (169 cm) reporter biurka prasowego

POPULARNOŚĆ RAJDOWEJ DRUŻYNY WZRASTA

Annopol był kolejną miejscowością, w której zatrzymaliśmy się na biwaku. Przyjęto nas tu bardzo serdecznie – ponieważ lał deszcz, oddano do naszej dyspozycji pomieszczenia szkolne. I wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby... nie ogłoszenie przypięte pinezkami do drzewa. Informowało ono, że: „Dnia 19 lipca br. odbędzie się przy szkole w Annopolu uroczyste ognisko, na którym wystąpi zespół harcerski »„Świata Młodych" z Warszawy«. Skutek był taki, że już przed domem towarowym powitano nas jako... „Gawędę". Od artystycznej kompromitacji uratował nas drobiazg – w ogłoszeniu zapomniano podać godzinę naszych artystycznych popisów i na zapowiedziane ognisko nikt nie przybył. Wspaniale natomiast udał się nam mecz piłki nożnej, rozegrany z miejscową drużyną. Rajdowi piłkarze pokonali przeciwnika... niewytrenowaniem i bojaźnią przed piłką. Wynik meczu był jednak dla rajdowców korzystny, przegraliśmy tylko 1:7.

Andrzej Mikołajczyk
wyższy (182 cm)
reporter biurka prasowego

REDAKCYJNA POCZTA

OD REDAKCJI: Zrozpaczoną Magdę z wadą wymowy prosimy o podanie adresu. Jednocześnie pragniemy uświadomić wszystkim czytelnikom, że nie możemy załatwiać interwencji anonimowych! Redakcja zapewnia całkowitą dyskrecję na każdą Waszą prośbę.

Jolu, napisz!

Bardzo zasmucił mnie list Joli z 58 nr „Świata Młodych". Nie rozumiem dlaczego koleżanki i koledzy Cię nie lubią. Przecież nie tusza decyduje o przyjaźni, tylko cechy charakteru! Ja też mam na imię Jola i nie jestem wcale szczupła. Nasze „podwórko" (do niego zaliczam naszą paczkę) jest najlepsze na całym świecie. Nasza „paczka" istnieje od niedawna. Chłopcy nie dogryzają nam, a jeśli nawet, to obracamy wszystko w żarty. Proszę Cię, Jolu, napisz do mnie.

Mój adres: Jola Turczyńska, ul. Katowicka 9/3, 10-251 Olsztyn.

Nie chcę nikogo stracić

Mam przyjaciółkę Ziutkę. Bardzo się lubimy i mogę powiedzieć, że wszystko sobie mówimy, nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Lecz od pewnego czasu coś się między nami psuje, a raczej od czasu, kiedy do znajomych, którzy mieszkają blisko nas przyjechał Jacek. Zapoznałyśmy się z nim, chodziłyśmy na spacery, którym towarzyszyły rozmowy i śmiechy. Więcej czasu spędzałam z nim ja, niż Ziutka. No i kiedy jej powiedziałam, że zakochałam się w nim, ona stwierdziła to samo, to znaczy, że ona też... To bardzo fajny i dobry chłopak i bardzo mi na nim zależy. Ale zależy mi również na Ziutce. Od pewnego czasu mamy do siebie pretensje, patrzymy na siebie z wyrzutem. Nieraz zachowujemy się tak jakbyśmy się nie znały. To przykre. Jacek jest fajny i nie chcę go oddać Ziutce. Dotąd nie spotkałam takiego chłopca i nie spodziewałam się ze strony Ziutki żadnych przeszkód. Ona chce nas po prostu rozbić. Nie chcę tracić przyjaciółki i chłopca. Proszę o radę, co właściwie mam robić. Poradźcie!

„Angelika"

Co robić z mundurkiem?

Będąc w V klasie szkoły podstawowej zapisałem się do harcerstwa. Od tego czasu także czytam „Świat Młodych". Miałem i mam obecnie wielki sentyment do harcerstwa. Starałem się żadnej zbiórki nie opuścić. Dla mnie harcerstwo było wielką rozrywką i przygodą. Po skończeniu VIII klasy szkoły podstawowej zacząłem uczęszczać do szkoły średniej i w tym roku w kwietniu musiałem się z harcerstwa wypisać z powodu dużej ilości zajęć szkolnych. Zrobiłem to z wielką przykrością. Nie wiem jednak, co robić z mundurkiem harcerskim. Jest w dobrym stanie. Sprzedałem jedynie czapkę, sznur i chustę. Czy wolno mi w samej tylko bluzie chodzić np. podczas wycieczek wakacyjnych?

Mirek D. z Gdańska

OD REDAKCJI: Proponujemy, abyś po prostu zmienił guziki, a mundurek przestanie być strojem organizacyjnym. (wm)

Z daleka widać wieżę kościoła. Później pojawiają się dachy parterowych domków i nielicznych jeszcze nowoczesnych bloków. Gdy pociąg zbliża się do stacji, za szybą można zobaczyć ogródki działkowe. Dziesiątki kolorowych altan, zielone pasma sałaty, kalejdoskop kwiatów... Takim widokiem Wołów wita swych gości.

Mirosława Hermaszewskiego młodzież witała serdecznie nie tylko w Wołowie, ale wszędzie, gdzie przebywał. To zdjęcie zostało wykonane podczas spotkania naszego kosmonauty z harcerzami w Harcerskim Ośrodku Katowickiej Chorągwi ZHP w Chorzowie

„ZATRZYMAĆ LATO"

Wielkie dni małego Wołowa

Pierwsza wzmianka o Wołowie pojawiła się w starych kronikach w roku 1157, kiedy to Władysław II Wygnaniec zbudował tu drewniany zameczek. Nazwa miasteczka pochodzi z czasów, gdy między Starym a Krzywym Wołowem odbywały się wielkie targi, na których sprzedawano bydło, głównie woły. Z tych czasów oprócz nazwy zachowały się do dziś mury miejskie.

W 1962 roku Wołów stał się „słynny" dzięki jednemu z największych w historii naszej kryminalistyki napadów na bank. I kiedy wydawało się, że nazwa miasta zawsze kojarzyć się będzie z tym napadem, usłyszano o Wołowie po raz trzeci.

Jak „poszło" w miasto, że Hermaszewski leci, to opustoszało wszystko. Nawet transmisje najważniejszych meczy piłkarskich nie zgromadziły tylu ludzi przy telewizorach. Pustkami świeciły ulice, parki, podwórza... Ci, którzy akurat pracowali na działkach, a było ich sporo, w pośpiechu zostawiali rozpoczętą robotę, zamykali altany, chwytali torby i czym prędzej podążali do domów. Podobno nawet w restauracjach i kawiarniach frekwencja spadła do... zera.

Tamtego popołudnia Staszek był zły, gdy mama zawołała go do domu. Przed telewizorem siedzieli już ojciec i brat.

– Polak w kosmosie! – powitali go, a na nim z początku nie zrobiło to większego wrażenia, chciał jeszcze poganiać po mieście. Spojrzał w bok, mama i ojciec... mieli w oczach łzy.

– Mama, co wam?

– A bo to w kosmosie Hermaszewski jest, ten Mirek, z naszego Wołowa.

Uważniej spojrzał na ekran. Poczuł dziwne drapanie w gardle, a po chwili wilgoć na policzkach. Staszek nie lubi wzruszeń i w zasadzie się ich wstydzi. Tym razem jednak „TO" okazało się silniejsze od niego.

Bogdan uczy się w Zasadniczej Szkole Górniczej w Zabrzu.

– Kiedy koledzy powiedzieli mi, że Polak poleciał w kosmos, uznałem to za dobry żart. Gdy wiadomość potwierdziła się, też jeszcze niezupełnie wierzyłem, że prawda. Dopiero potem, tak jak inni cieszyłem się z tego lotu. Bardziej niż inni, jak dowiedziałem się, że Mirosław Hermaszewski jest z tego co i ja miasta. Ja nie pamiętałem naszego kosmonauty, nie mogłem go zresztą pamiętać – wyjechał z Wołowa zanim ja się urodziłem. Ale dumny to jestem! Mój profesor mawiał o Wołowie, że to... „cicha woda". Okazało się, że miał rację.

Nie tylko Bogdan nie pamięta Hermaszewskiego, który wyjechał stąd z górą siedemnaście lat temu. Choć... przypominał się czasami – co jakiś czas przylatywał nad miasto odrzutowiec, którzy trzykrotnie zataczał koło na wołowskim niebie i wracał. Wiadomo wtedy było, że w kabinie samolotu siedzi Mirosław, najmłodszy syn pani Kamili.

Wielka asfaltowa szachownica na Rynku codziennie przyciąga wiele osób. Przychodzą i młodzi, i starzy – by pograć w szachy lub po prostu pogawędzić. Ostatnio jedynym niemal tematem rozmów jest lot „ich Mirka". Tak go tu nazywają. W ciągu kilku godzin major Hermaszewski stał się „własnością" Wołowa.

Siedzę na ławce z trzynastoletnim Krzyśkiem. Rozmawiamy, obserwując poczynania szachistów.

– Byłem kilka razy na kolonii – mówi Krzysiek. – Koledzy z innych miast chwalili się zawsze tym, z czego to ich miejscowości nie słyną: opowiadali o zabytkach, wielkich zakładach przemysłowych, pomnikach... Kiedy przychodziła kolej na mnie, mogłem najwyżej opowiedzieć o... napadzie, który i tak znam tylko z opowieści taty. Teraz, jak pojadę na kolonie, to na pewno będą się mnie pytać, czy widziałem Hermaszewskiego, czy mieszkam blisko jego rodziny. Nareszcie będę mógł o swoim mieście mówić z dumą.

Do Wołowa przybyłem w chwili, gdy miasto szykowało się do przyjęcia polskiego i radzieckiego kosmonauty. Malowano domy, starannie porządkowano skwery, ulice otrzymały nowe nawierzchnie...

– Lot naszego kosmonauty wspaniale zmobilizował załogi wielu zakładów pracy. Pokrycie ulicznej kostki asfaltem było przewidziane na ten rok, ale dotychczasowe tempo robót zapowiadało ukończenie prac w... grudniu. Teraz, dzięki pełnemu zaangażowaniu pracowników Rejonu Dróg Publicznych, asfalt już jest – mówi naczelnik miasta i gminy w Wołowie, Zygmunt Kuliniak. – Dla mnie lot Hermaszewskiego był podwójnym przeżyciem: jako dla Polaka i jako dla gospodarza miasta, w którym kilkanaście lat mieszkał pierwszy polski kosmonauta. Wiemy, że z nami cieszy się cała Polska. Obserwowaliśmy lot z dumą, a jednocześnie z lękiem, aby „to wszystko" zakończyło się szczęśliwie.

Fot. **A. Jaroszyński, Z. Bisanz**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

O dżungli dla harcerzy

ZBIÓRKA NA AMBONIE

W pierwszym rzędzie trzeba zmienić niekorzystny mikroklimat. W tym celu inż. arch. Aleksander Haber zaprojektował groblę od strony MPWiK. Harcerska dżungla uniknie więc zalewów. Wydłużony staw wykopany pośrodku trójkątnego parku o powierzchni 2,8 ha poprawi mikroklimat: po prostu wody deszczowe będą miały dokąd spływać. Same chaszcze pozostaną: ginące łęgi wiślane mają niepowtarzalny urok i świetnie się nadają do zabawy.

Przyszli użytkownicy będą brodzić wśród zieleni po drewnianych pomostach. Tu i ówdzie napotkają wigwam ukryty wśród krzewów: doskonałe miejsce na zbiórkę! Ba, na zbiórkę będzie się też można umówić na wielopoziomowej... ambonie. Miłośnicy sportu z dreszczykiem będą mieli do dyspozycji zwykłe i ruchome równoważnie, płotki, a także linę rozpiętą wysoko między belkami. Po tej linie będzie się można przeciągać na rękach. Gdyby jednak zmęczone dłonie zawiodły, niefortunny sportsmen spadnie na siatkę zabezpieczającą. Bezpieczeństwo będzie jednak zależało od druhów – gospodarzy, którzy sami zadbają o konserwację drewnianych przecież urządzeń.

Po wiszącym moście nad stawem dojdziemy do boisk sportowych położonych u stóp wału przeciwpowodziowego, Granice boisk wytyczać się będzie każdorazowo przy pomocy taśmy. A wieczorem wszyscy spotkamy się w amfiteatrze wpisanym w zakręt ul. Zaruskiego. Na kamiennym kręgu zapłonie ognisko. Zza kulis zrobionych z palików wybiegną harcerze. Trzeci krąg kamienny już wcześniej zajęła orkiestra...

Wiszący most to jedna z wielu atrakcji, które obmyślił architekt krajobrazu inż. Aleksander Haber

Urządzenie takiej imprezy nie jest możliwe bez zaplecza. Toteż inż. arch. Andrzej Ryba tak zaprojektował harcówkę, że zmieści się w niej wszystko: i garderoby dla artystów, i zaplecze dla instruktorów, i świetlica za scenką, sala kominkowa i telewizyjna, i kiosk z napojami. A jako dodatkowa atrakcja – kominek na tarasie. Typowy domek jednorodzinny, dar Ministerstwa Budownictwa i Materiałów Budowlanych, nie sprostałby potrzebom. Więc pan Andrzej dodał mu dolną kondygnację ukrywając ją częściowo w wale.

Prace na cyplu trwają już od października ub. roku, ale dopiero w pierwszych dniach czerwca odbyło się uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego, w którym wziął udział sekretarz KC PZPR, I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, Alojzy Karkoszka.

Park Harcerski powstaje wysiłkiem społecznym. Wojsko zajmuje się pracami ziemnymi. Staw już wykopany, kończy się usypywanie amfiteatru. Robota wre, aż miło, tylko pogoda przeszkadza. Byle deszcz, a już ciężarówka nie wyjedzie z gliny. Grzęzną w niej nawet spychacze. Jak dobrze pójdzie, Park Harcerski zostanie oddany w tym roku. Jest już drewno na małą architekturę: pomosty, równoważnie itp.

Ale park to pierwsza i... tańsza część inwestycji. Cypel Czerniakowski będzie przecież ośrodkiem warszawskich harcerzy-wodniaków. Potem przystąpi się do budowy portu dla 190 jednostek pływających. Na razie inż. Andrzej Ryba przy współudziale projektantów z Biura projektów „Hydroprojekt" i BP „Mostostal" sporządza plan obiektu (cała dokumentacja Harcerskiego Ośrodka Wodnego powstaje w czynie społecznym). Początkowo proponowano przystań przy pomostach, ale potem zrezygnowano z tego rozwiązania. Wisła ma w tym miejscu głębokość 4 m, nurt jest bystry. Ze względu na bezpieczeństwo przyszłych użytkowników zbuduje się... basen portowy! Na nadbrzeżu stanie budynek, w którym znajdą pomieszczenia warsztaty młodzieżowe, zaplecze szkutnicze, hangary, żaglownia, gabinety do nauki żeglarstwa, klub młodzieżowy, nautel i hotel dla żeglarzy.

Harcerze-wodniacy doczekają się ośrodka swoich marzeń.

MARIA WRÓBLEWSKA

Tow. Alojzy Karkoszka całym sercem popiera budowę Harcerskiego Ośrodka Wodnego.

Fot. **Jerzy Dąbrowski**

GWIAZDOZBIÓR

Aktor jak wulkan

ANTHONY QUINN

Anthony Quinn w ostatnim swoim filmie pt. „Grecki magnat"

Przeszło czterdzieści pięć lat temu osiemnastoletni syn biednych emigrantów meksykańskich, jako portier w pewnej hollywodzkiej szkole teatralnej, przysłuchiwał się przy każdej okazji lekcjom dykcji i uparcie ćwiczył wymowę. Był to Anthony Rudolph Caxaca Quinn. Pracowitość młodego człowieka została nagrodzona i spotkał go szczęśliwy los bajkowego „kopciuszka". Znana gwiazda filmowa Mae West (dobra wróżka) namówiła go do próby sił w filmie. Jego charakterystyczna twarz o egzotycznych rysach (wszyscy zazdrościli „kopciuszkowi" urody!) zwróciła uwagę reżysera, który dał mu szansę życiową w postaci dużego epizodu – rolę Indianina Cheyenna. Na planie tego filmu Quinn poznał również swego bajkowego królewicza – przybraną córkę reżysera Katherinę De Mille, którą pokochał, zdobył jej wzajemność i mimo sprzeciwów taty poślubił. Bramy Hollywood zostały więc zdobyte.

Ta optymistyczna historyjka w niczym nie odbiega od setek biografii filmowych, fabrykowanych przez impresariów i prasę dla reklamy. Opierały się one na doborze pewnych rzeczywistych zdarzeń z życia aktora i podawane do publicznej wiadomości powielały schemat olśniewających karier, które może zrobić każdy posiadacz przysłowiowego „łuta szczęścia".

Quinn nigdy nie mieścił się w schematach. Przez pierwszych piętnaście lat, od chwili debiutu, usiłowano z niego bezskutecznie zrobić na podobieństwo Rudolfa Valentino – egzotycznego amanta. Później przez wiele lat grywał wszystkie możliwe role egzotyczne – od Eskimosów poczynając, po meksykańskich pastuchów. Jedyne filmy z tych czasów, w których czuł się dobrze – to westerny. W Hollywood był ceniony jedynie na drugim planie (zdobył nawet dwa „Oscary" za role drugoplanowe). Próbował więc swych sił w Europie, a także bez powodzenia reżyserował.

Po raz pierwszy dane mu było ujawnić swój niezwykły talent dopiero w 1958 r. w filmie „Dziki jest wiatr". Jako włoski emigrant w Nowym Jorku zaćmił słynną partnerkę Annę Magnani. Równocześnie przyszły wielkie sukcesy teatralne. Od tej pory nigdy nie dał się już zepchnąć na fałszywe tory. W swej pracy inspiruje się przede wszystkim obserwacjami własnymi. Gra żywiołowo i przykuwa uwagę widzów nawet, kiedy siedzi i milczy. Twierdzi, że chce w swoich rolach przekazać myśl pisarza greckiego – Kazana Tzakisa, ważną dla niego. – ***„Człowiek nie jest w pełni człowiekiem, jeśli brak mu odrobiny szaleństwa"***. Wierzy bardziej językowi wyobraźni, niż najlepszym nawet wskazówkom, dlatego grając bohatera innej narodowości, stara się jak najlepiej poznać poezję obcego sobie narodu. Mówi się o nim, że jest bardziej grecki niż jakikolwiek Grek, a może, jeśli zechce, być bardziej chiński, niż jakikolwiek Chińczyk.

Grecy zresztą, to osobny rozdział w aktorskich dokonaniach Quinna. Mówi o nich: ***„Są spokojni i wszystko przyjmują, a potem nagle wybuchają jak wulkan. Trzeba ich zobaczyć w akcji"***. Utożsamił się z Grekami w świadomości widzów i w swoim własnym poczuciu grając w „Greku Zorbie" w reż. Michaela Caccoyannisa (1964 r.) – człowieka wyzwolonego z ograniczeń i konieczności, jakie narzuca cywilizacja, człowieka wolnego, żywiołowego i radosnego. Grekiem był również w „Działach Nawarony" (1952 r.).

Najnowszy film z nim, to również historia Greka. Nosi on tytuł „Grecki magnat", a reżyseruje go J. Lee Thompson. Ogólnie wiadomo, że pod postacią bohatera filmu – armatorem greckim, Theo Thomasisem kryje się miliarder naszych czasów – Onassis. Pytano więc Quinna, jak się czuje grając najbogatszego człowieka na świecie. Odpowiedział: ***„Theo Thomasis w istocie nie jest najbogatszy, bo bogactwo jest pojęciem względnym. Każdy za czymś tęskni. Theo ma pieniądze, ale jego szczęście związane jest z miłością do syna. Tracąc go staje się biedakiem, ubogim wewnętrznie. Nie inspiruje mnie w tej roli wyłącznie postać Onassisa, równie dobrze inspiruje mnie Marlon Brando – jako Ojciec Chrzestny. Aby stworzyć taką postać, trzeba wykorzystać wiele rysów.***

Wszystkie ostatnie role filmowe Quinna dowodzą, że dysponuje on wspaniałą techniką i doświadczeniem aktorskim, (ma za sobą kilkadziesiąt ról w teatrze i sto kilkanaście w filmach), jest świetnym aktorem i wybitną indywidualnością. Mimo to wydaje się, że szczyt swoich możliwości, dwie wspaniałe i biegunowo różne role: Zorby i prymitywnego Zampano z „La Strady" Federico Felliniego ma już za sobą.

EWA BIELSKA

DOM MODY świata młodych

Sukienki... zamaszyste

To, co w tytule, może i nie brzmi zbyt stylistycznie (zamaszysty może wszak być krok), ale jest to jednak określenie jak ulał pasujące do przedstawianych dzisiaj szatek. Są one takie... z rozmachem, właśnie – zamaszyste.

W gruncie rzeczy, nic to nowego – o sukniach-namiotach, lejbach czy jak je tam jeszcze zwą, od lat paru jest głośno. Ale to było tak, że rzeczywiście o nich mówiono, pisano, pokazywano je na zdjęciach, a jak co do czego przyszło, to na ulicy trudno było je w większej ilości uświadczyć. Dopiero w tym roku w sposób bardziej zdecydowany zyskały na popularności i powszechności. I bardzo dobrze się stało. Bo jest to strój kapitalny. Nadaje się i na upał – wiadomo, że w luźnej szacie człowiek mniej się poci, i na chłodniejsze dni – jest pod tą szatą tyle miejsca, że można nakłaść tam swetrów a swetrów, bluzek a bluzek i... całość doskonale gra. Szalenie modne są stroje wielowarstwowe.

Zalet mają jeszcze kilka innych, Pisałam, że pod czymś takim bardzo luźnym i bardzo szerokim łatwo jest ukryć różne niedostatki figury (po prostu – wszyscy w tym tak samo zwaliście wyglądają), a poza tym – rzecz to jest stosunkowo prosta do własnoręcznego uszycia. Żadnych zaszewek, żadnych finezyjności kroju, po prostu – wielkie płaszczyzny materiału zszywane ze sobą w liniach przede wszystkim prostych. I to jest jedyna wada, że na taki ciuch potrzeba masę materiału, tyle, że wyszłyby z niego dwie inne spódnice i jeszcze trzy bluzki na dodatek, a pewnie i dla lalki (jeśli któraś z Was ma małą siostrę, to sprawę zna) coś by zostało. Ale ponieważ szyje się te rzeczy z materiałów najprostszych (przede wszystkim bawełna) czyli i najtańszych, przeżyć można.

Na zdjęciach obok jest jedna sukienka (ta wiśniowa) i dwie gigantycznie szerokie spódnice z równie szerokimi i luźno zwisającymi bluzkami. Szczególnie sukienka jest godna uwagi. Dziewczyna na zdjęciu przepasała ją w talii paskiem, ale naprawdę jest to sukienka bardzo luźna. Składa się z trzech falban przymarszczanych jedna do drugiej (każda niższa falbana jest o 1/3 szersza od wyższej), a górna falbana przymarszczona jest do wąskiego paska materiału, który tworzy rodzaj karczka na dwóch ramiączkach. I uwaga, ta sukienka założona jest na dłuższą nieco od niej i równie szeroką spódnicę. To strasznie modne, nosić takie bardzo szerokie rzeczy jedna na drugiej. Spod spódnicy kraciastej też zresztą wystaje inna spódnica, gładka w kolorze zharmonizowanym z kratką.

Jak Wam się to podoba?

RIUSZKA

ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA I TECHNIKUM BUDOWLANE DLA PRACUJĄCYCH W JAWORZNIE CHRZANOWSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWLANEGO

przyjmują zapisy absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1978/79 do klas pierwszych

ZASADNICZEJ SZKOŁY BUDOWLANEJ PRZYZAKŁADOWEJ

Szkoła uczy następujących zawodów

2-letni okres nauczania:
- murarz-tynkarz
- malarz budowlany
- posadzkarz
- prefabrykacja elementów budowlanych

3-letni okres nauczania
- mechanik maszyn budowlanych
- ślusarz-spawacz

Uczniom zamiejscowym zapewnia się całodzienne wyżywienie i zakwaterowanie w internacie. Na kierunek malarz-budowlany przyjmowane są również dziewczęta (bez możliwości zakwaterowania w internacie).

Uczniom zapewnia się dobre warunki socjalno-bytowe. Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Budowlanej absolwenci mają prawo kontynuowania nauki w 3-letnim Wieczorowym Technikum Budowlanym dla pracujących w Jaworznie.

Kandydaci winni niezwłocznie złożyć lub przesłać listownie następujące dokumenty:
- podanie
- odpis skrócony aktu urodzenia
- świadectwo zdrowia stwierdzające zdolność wykonywania zawodu
- trzy fotografie
- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej

Adres szkoły: ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA CHRZANOWSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWLANEGO
ul. Szopena 40, 32-510 Jaworzno, tel. 35-81.

K-102

WZRASTAJĄCY ANALFABETYZM NA ŚWIECIE

Na świecie jest 800 milionów analfabetów i liczba ta codziennie wzrasta. Międzynarodowe jury, które przyznaje duże nagrody za postęp w zwalczaniu analfabetyzmu, biorąc pod uwagę powyższe dane, zdecydowało, że po raz pierwszy nagroda ta nie zostanie przyznana. „Jeśli trendy notowane w kilku ostatnich latach zostaną potwierdzone – powiedział John Fobes, zastępca Generalnego Dyrektora UNESCO, liczba dzieci między 6 a 11 rokiem życia, które nie uczęszczają do szkoły w krajach Trzeciego Świata, osiągnie 134 mln w 1985 r., w tym 35 mln w Afryce, 90 mln w Azji i 9 mln w Ameryce Łacińskiej. **(mw)**

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Naczelnik nie ma czasu na dłuższą rozmowę. Trzeba wszystkiego dopilnować.

Do kina „Zew" przychodzi się nie tylko na filmy. Podobnie jak przy szachownicy na Rynku, tak i tu, w hallu, często spotykają się wołowianie, aby poświęcić chwilę czasu dyskusji

Wielkie dni małego Wołowa

o sprawach powszedniego dnia. Pani Eugenia Archimionek jest kierowniczką wołowskiego kina.

– Dla mnie najważniejsze było to, że tam, w górze, był Polak. To, że kiedyś mieszkał w Wołowie, cieszy, ale ma mniejsze znaczenie. Ja nie mogłam doczekać się chwili, kiedy oni wreszcie powrócą na ziemię. A teraz nie możemy doczekać się przyjazdu kosmonautów tutaj. A właśnie, pani Aniu – przerywa zwracając się do koleżanki – trzeba zadzwonić do domu towarowego, czy mają zieloną farbę, przydałaby się do pomalowania naszego płotu.

Pani Ania, Anna Kowalik, jest z pochodzenia Włoszką. Wyszła za mąż za Polaka i od ponad trzydziestu lat mieszka w naszym kraju.

– Prego signore, ja bardzo podziwiam matkę Mirosława. Nie wiem, czy wytrzymałabym takie napięcie, ten lęk o syna, który lata w kosmosie. Ja cieszę się bardzo, że nasze miasto Wołow będzie słynne. Ja jestem bardzo wzruszona i niech pan się nie dziwi, że ja podczas transmisji popłakała się. A teraz, to już wszyscy czekamy na wtorek.

Wtorek, 25 lipca, PAP donosi: „W godzinach popołudniowych kosmonauci przybyli do Wołowa – miasta, w którym Mirosław Hermaszewski spędził dzieciństwo i młodość, gdzie do dzisiejszego dnia mieszka jego matka – Kamila oraz dwie siostry".

Dla upamiętnienia lotu pierwszego Polaka w kosmos główna ulica Wołowa otrzymała nazwę „Kosmonautów Polskich".

ADAM JAROSZYŃSKI

Dyskusja o ewentualnych wizytach składanych na Ziemi w przeszłości i dziś (UFO) trwa. Otrzymuję dziesiątki listów, w których omawiane są co ważniejsze doniesienia na temat UFO. Dziś zapoznacie się z jednym z ważnych dowodów – powiedziałbym nawet – dowodem koronnym, potwierdzającym jakoby autentyczność kosmicznych wizyt na naszej planecie. Historia ta znana jest obecnie pod nazwą „zagadka Bentwaters Lakeheath".

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Zagadka Bentwaters-Lakeheath

Dziś chciałbym przedstawić czytelnikom „TOMIKA" fakty tak zwanej zagadki **Bentwaters-Lakeheath**. Oto one:

Całość wydarzeń rozgrywała się od 21.30 13 czerwca 1956 roku do 3.30 nad ranem 14 czerwca czasu lokalnego w środkowo-wschodniej Anglii, głównie w Suffolk. Z obserwacjami związany jest personel wojskowy U.S. Air Force i RAF w trzech placówkach:

1. Bentwaters – leżącej na wybrzeżu około 6 mil od Ipswich, 40 mil w kierunku południowo-wschodnim od Lakeheath. 2. Lakeheath – 20 mil w kierunku północno-wschodnim od Cambridge. 3. Sculthorpe – 40 mil od Lakeheath w kierunku północno-wschodnim.

Pierwszy kontakt radarowy nastąpił w Bentwaters o godzinie 21.30. Operator radaru typu GCA doniósł, że na ekranie pojawił się nieznany cel w odległości 25–30 mil w kierunku wschód-południowy wschód, poruszający się z niezwykłą prędkością na stałym kursie 295 stopni. Cel zniknął z radaru po 30 sek. w odległości 15–20 mil na północny-wschód od Bentwaters. Pod koniec drogi w poprzek ekranu echo radarowe osłabło. Kontroler oszacował prędkość na około 4000 mil/h, ale ocena ta wydaje się znacznie zaniżona. Czas przejścia echa – 30 sekund w odniesieniu do przebytej drogi: 40–50 mil, wskazuje na prędkość rzędu 5000–6000 mil/h.

Wkrótce po pierwszej obserwacji sierżant B. wykrył na ekranie tego samego radaru grupę nieznanych, wolno lecących obiektów znajdujących się w odległości około 8 mil na południowy zachód Bentwaters. W raporcie Blue Book pisze się, że „...**zwykłe testy podjęte dla wykrycia ewentualnych uszkodzeń aparatury dały wynik negatywny, co wykazywało, że od strony technicznej wszystko było w porządku**". Grupa kilkunastu obiektów leciała z prędkością 80–125 mil/h w kierunku północno-wschodnim. W raporcie stwierdza się, że „**12–15 obiektów było poprzedzonych przez 3 obiekty lecące w formacji trójkąta w odległości około 1000 stóp od siebie**". W chwili, kiedy obiekty znalazły się 40 mil na północny-wschód od Bentwaters, połączyły się one i zatrzymawszy się trwały tak przez 15 minut. Następnie obiekty podjęły lot, ponownie zatrzymały się, tym razem na 2–3 minuty, znowu podjęły lot na północ i znikły.

Jeszcze dwa razy personel placówki w Bentwaters nawiązywał kontakt radarowy z niezidentyfikowanymi obiektami.

W Lakeheath zaczęto obserwację obiektów o godzinie 22.55. Jeden z obiektów obserwowany był „**od punktu położonego 6 mil na wschód do punktu leżącego 20 mil na wschód, gdzie przyjął pozycję NIERUCHOMĄ. Następnie podjął lot w kierunku północno-zachodnim w stronę stacji i zatrzymał się 2 mile na północny-zachód od niej**". Po pewnym, nie dającym się określić czasie RATCC (typ urządzenia radarowego) podnosi alarm, że w odległości 17 mil na wschód od stacji wykryto UFO, który lecąc z wielką prędkością dokonał OSTREGO SKRĘTU POD KĄTEM PROSTYM. W aktach BLUE BOOK czytamy: „**RATCC zaobserwował obiekt 17 mil na wschód od stacji, wykonujący ostrą PROSTOKĄTNĄ ZMIANĘ KURSU**". Tyle z Lakeheath.

Około północy z bazy RAF w Waterbeach, położonej 6 mil na północ od Cambridge i około 20 mil na południowy-zachód od Lakeheath wystartował jednoosobowy, odrzutowy samolot ponaddźwiękowy typu Venom, wyposażony w radar do ścigania powietrznego typu A[illegible] umieszczony w dziobie maszyny. W dalekopisie przesłanym z Lakeheath do Blue Book czytamy: „**Samolot przeleciał nad stacją RAF w Lakeheath i został skierowany w stronę celu radarowego (niezidentyfikowanego obiektu, który był nadal śledzony przez radar w Lakeheath) około 6 mil na wschód od stacji. Pilot zawiadomił, że widzi jasne, białe światło i że będzie się starał zbadać to zjawisko. 13 mil na zachód (wschód)? zameldował, że zgubił cel i białe światło.**" Wynika z tego, że UFO obserwowany wcześniej przez radary w Lakeheath wykryty został na trzech niezależnych „kanałach": **radarowo z ziemi, radarowo z pokładu samolotu i wizualnie przez pilota.**

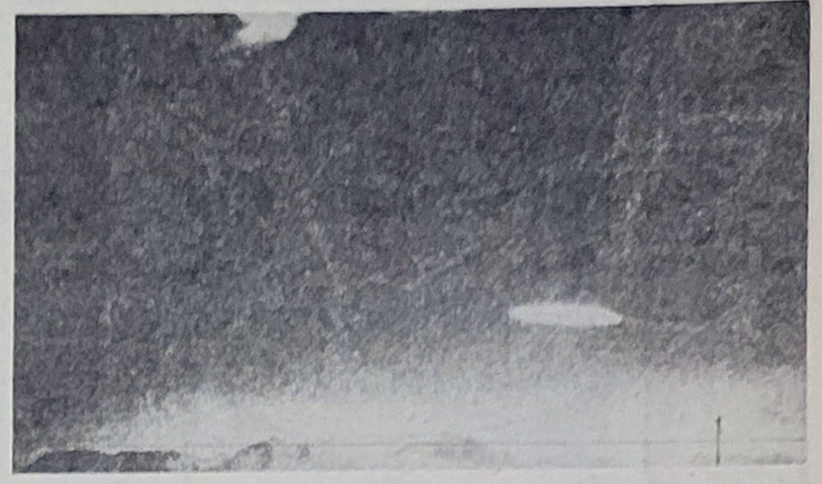

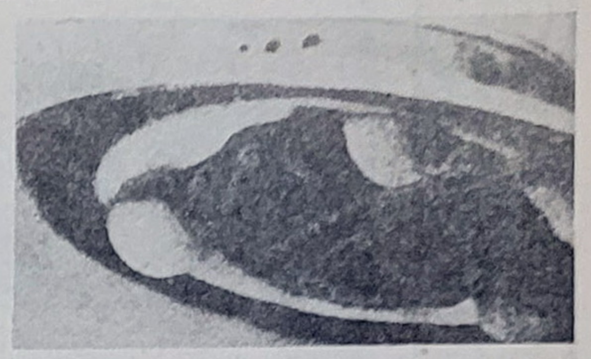

Pojazd UFO w locie i w znacznym zbliżeniu

Fot. „Der Spiegel"

A oto dalszy przebieg pościgu myśliwca Venom. Kiedy pilot stracił kontakt z obiektem, RATCC skierowało go do celu znajdującego się w odległości 10 mil na wschód od Lakeheath, a pilot zameldował, że ma cel na radarze i utrzymuje z nim kontakt. To, co teraz nastąpiło, jest, jak się wydaje, najdziwniejszą częścią opisywanych tu wydarzeń. Pilot pościgowca stracił kontakt z obiektem na skutek manewru UFO, który błyskawicznie wszedł „na ogon" myśliwca i zaczął lecieć za nim. Pilot nie zauważył nawet tej ewolucji, ale została ona zaobserwowana na radarze RATCC, który bez przerwy prowadził oba cele. Stacja radarowa poprosiła pilota o potwierdzenie, że ścigany obiekt znajduje się za nim, co pilot potwierdził dodając: „Spróbuję zrobić nawrót i przejść za cel". Wydarzenia, jakie się dalej rozgrywały, świadczą bezspornie o inteligentnym zachowaniu się UFO, gdyż latający obiekt wykonywał przez 10 minut manewry uniemożliwiające pilotowi kontakt „twarzą w twarz", błyskawicznie reagując na wszelkie próby. Nie była to jednorazowa próba, lecz cała gonitwa po niebie, która mogłaby przypominać powietrzne boje myśliwców z II wojny światowej, gdyby nie to, że jeden z przeciwników był zupełnie bez szans. W aktach Blue Book znajduje się wzmianka: „**Pilot zawiadomił, że nie może „zrzucić" z ogona celu i zażądał pomocy**".

Po upływie 10 minut, gdy wysiłki pilota nie dały żadnego rezultatu, maszyna rozpoczęła lot w kierunku bazy. UFO leciał za nią przez pewnien czas, a następnie ZATRZYMAŁ SIĘ, o którym to ważnym szczególe nie ma wzmianki w Blue Book. Natychmiast wystartował drugi Venom, ale awaria zmusiła go do lądowania i drugi pilot nie mógł podjąć pościgu.

Przypadek Bentwaters-Lakeheth do czasu opublikowania w 1969 r. tzw. Raportu Colorado, znany był jedynie wąskim kręgom uczonych: podobnie jak setki innych zdumiewających przypadków.

Chciałbym zakończyć ten artykuł wypowiedzią prof. Jamesa McDonalda, pracownika Uniwersytetu Arizona, gdyż oddaje ona istotę rzeczy i stosunek nauki do zagadnienia Niezidentyfikowanych Obiektów Latających:

„Tym, co mnie przeraża najbardziej jako naukowca, jest fakt, że chociaż istnieje wielki zbiór danych wskazujących na słuszność hipotezy kosmicznego pochodzenia UFO, świat nauki nie rozważa jej wcale, ponieważ cały problem został uznany za coś niewiele więcej, niż bezsensowna sprawa niegodna uwagi naukowców. Twierdzenie to wyrażają prawie zawsze naukowcy i ludzie, którzy właściwie nie przeprowadzili żadnych badań zjawiska, o którym wypowiadają tak radykalne opinie. Czy przypadek taki jak Lakeheath, nie zasługuje ze strony naukowców na coś więcej poza wzruszeniem ramion?."

Cezary Tąder
Lipie 28
42-165 Lipie

GWIAZDY JAK... NALEŚNIKI

W otaczającym nas wszechświecie niewątpliwie większość materii skupiona jest w gwiazdach – ogromnych, ognistych kulach podobnych do naszego Słońca. Te masywne obiekty, świecące punkty na nocnym niebie podobnie jak żywe organizmy, rodzą się, dorastają, starzeją i umierają. Tylko dla gwiazd etapy te trwają miliony, a nawet miliardy lat. Ponadto gwiazdy mogą żyć samotnie, parami, w małych lub też bardzo licznych skupiskach, zwanych gromadami. Wielkie jest też bogactwo odmian i gatunków gwiazd ze względu na pewne parametry fizyczne, acz ogólnie można je nazwać wielkimi, ognistymi kulami gorącej materii, jak to wspomniałem na początku.

Czy można jednak wyobrazić sobie gwiazdę w kształcie naleśnika lub kawałka rozwałkowanego ciasta? Otóż obiekty takie istnieją, chociaż bardzo rzadko i astronomowie wiedzą o nich od niedawna. Napiszę pokrótce jak taka gwiazda powstaje.

Wyobraźmy sobie układ podwójny, czyli dwie gwiazdy żyjące w parze obiegające prawie kołowo wspólny środek ciężkości. W pewnych okolicznościach gwiazda masywniejsza na skutek własnych procesów życiowych zaczyna silnie puchnąć, rozrastając się do potężniej kuli. To rozdmuchiwanie ma jednak swą granicę. W pewnym momencie na tej wielkiej kuli od strony sąsiedniej gwiazdy formuje się dzióbek rozwijający się w strugę biegnącą spiralnie do następnej gwiazdy. I tą strugą materia zaczyna przelewać się z gwiazdy masywnej na mniejszą. Strumień materii opada na mniejszą gwiazdę nie od razu, lecz powoli po spirali ułożonej ściśle w jednej płaszczyźnie. Masywna gwiazda po wylaniu znacznej części materii kurczy się i przygasa. Natomiast wokół sąsiedniej gwiazdy ciasne kręgi spirali po lekkim wymieszaniu się tworzą wraz z ową gwiazdą dość cienki, ale bardzo rozległy płaski... naleśnik.

Marian Gola
D.S.1. Al. Żwirki i Wigury 97/99
02-081 Warszawa

Podwinąwszy nogawki spodni, skoczyłem z jachtu na płyciznę. To samo zrobiła Bajeczka.

– Nie puszczę pana samego – stwierdziła. – Już raz to zrobiłam i naraził się pan na kłopoty. Pan nawet nie wyobraża sobie jak pełnym fałszu człowiekiem jest Batura.

Roześmiałem się.

– Być może czeka mnie nowa przygoda, a pani, Bajeczko, nie lubi przygód. Radzę pozostać na jachcie.

– Nienawidzę przygód – skinęła głową. – Ale chcę, aby ta historia skończyła się dobrze. I dla pana, i dla mnie. Zdecydowałam, że pójdę z panem. Czymś bezcelowym byłoby dyskutować z nią dalej. A poza tym pomyślałem, że jej obecność przy mnie mogła okazać się korzystna. Była wprowadzona w ciemne interesy Batury, choć nie o wszystkim zechciała mi powiedzieć. Przy niej Batura być może nie odważy się ciągnąć dalej swojej podwójnej czy też potrójnej gry.

W uliczce obok domu Lejwody parkował piękny turbo Waldemara Batury. Tuż za nim stał citroen pana Tendron, a dalej mój wehikuł. Batura przywiózł nie tylko pana Domini, ale i dwóch swoich goryli, którzy leżeli na skrawku trawy w ogródku i żuli gumę, leniwie poruszając szczękami.

Zobaczywszy mnie na chwilę zamarli, a potem jeden z nich rzekł do drugiego, ale tak, żebym go usłyszał:

– Ten facet to nie żaden porywacz, a obiekt muzealny. O mało go nie stłukliśmy, jak tę chińską wazę. Widziałeś jego samochód? Facet zbudował wóz z puszek po konserwach.

Drugi zaśmiał się grubym głosem i znowu zaczęli żuć gumę, a ja i Bajeczka, przeszliśmy obok nich i zadzwoniliśmy do drzwi.

W dużym pokoju z telewizorem i wyjściem na taras siedziało w fotelach czterech mężczyzn: Batura, Domini, Templer i pan Tendron. Na stoliczku obok foteli pani Jagoda postawiła szklanki z mocną herbatą, a przed panem Domini – duży kieliszek koniaku.

Producent filmowy podniósł się na mój widok i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

– Chciałem pana przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie i oskarżenie, które nie miało sensu – oświadczył.

Podałem mu rękę, bo tak zawsze reaguję na słowa przeprosin. Nie potrafię długo trzymać w [illegible]rcu urazy.

Batura zobaczywszy Bajeczkę w moim towarzystwie usta zacisnął ze złości. Aby zamaskować swój gniew, szybko przyniósł z drugiego pokoju krzesło dla dziewczyny. Podsuwając je jej, syknął:

– Zdradziłaś mnie...

Bajeczka odpowiedziała:

– Zerwałam z tobą, ale cię nie zdradziłam.

Jej dalsze słowa zagłuszył pan Domini:

– Pragnę pana poinformować, że wreszcie otrzymałem wiadomość od porywaczy i porozumiałem się z nimi. Jutro rano mój pełnomocnik w Londynie przekaże 50 tysięcy funtów szterlingów przedstawicielowi porywaczy. W zamian za to jutro rano Diana Denver powróci na plan filmu. Sprawę uważam za zakończoną i jeszcze raz przepraszam pana, za moje niewłaściwe zachowanie.

– Czy ma pan list od porywaczy? – zapytałem.

– Nie... – zmieszał się pan Domini. – Porozumieli się ze mną telefonicznie.

– Uważam, że powinno się powiadomić tutejszą milicję – odezwał się pan Tendron. – Poszukiwania porwanej wyglądają wtedy bardziej dramatycznie i dają więcej materiału do gazety.

Pan Domini aż poczerwieniał z oburzenia!

– Pan myśli tylko o swoich artykułach. Mnie natomiast zależy na szybkim zakończeniu zdjęć. Dlatego nikt nie może mieć do mnie pretensji, że ułożyłem się z porywaczami.

Nie chciałem pana Tendrona wprowadzać w kulisy sprawy porwania Diany Denver. Po polsku odezwałem się do Batury:

– Rzuciłeś mi rękawicę. Podjąłem ją i jestem gotów do walki.

Batura złapał się za głowę udając wielkie zdziwienie.

– Zupełnie fałszywie, Tomaszu, zrozumiałeś mój gest. On wcale nie oznaczał, że wzywam cię na pojedynek. Chodziło o coś innego. O ugodę. Zdawałem sobie sprawę, że trapi cię zagadka wiersza „Złota rękawica", a ponieważ ja domyślam się, gdzie jest prawdziwa złota rękawica, po incydencie nad Jeziorem Drwęckim złożyłem ci propozycję: za cenę złotej rękawicy, tej prawdziwej, nie wtrącaj się w nasze filmowe sprawy...

Cdn.

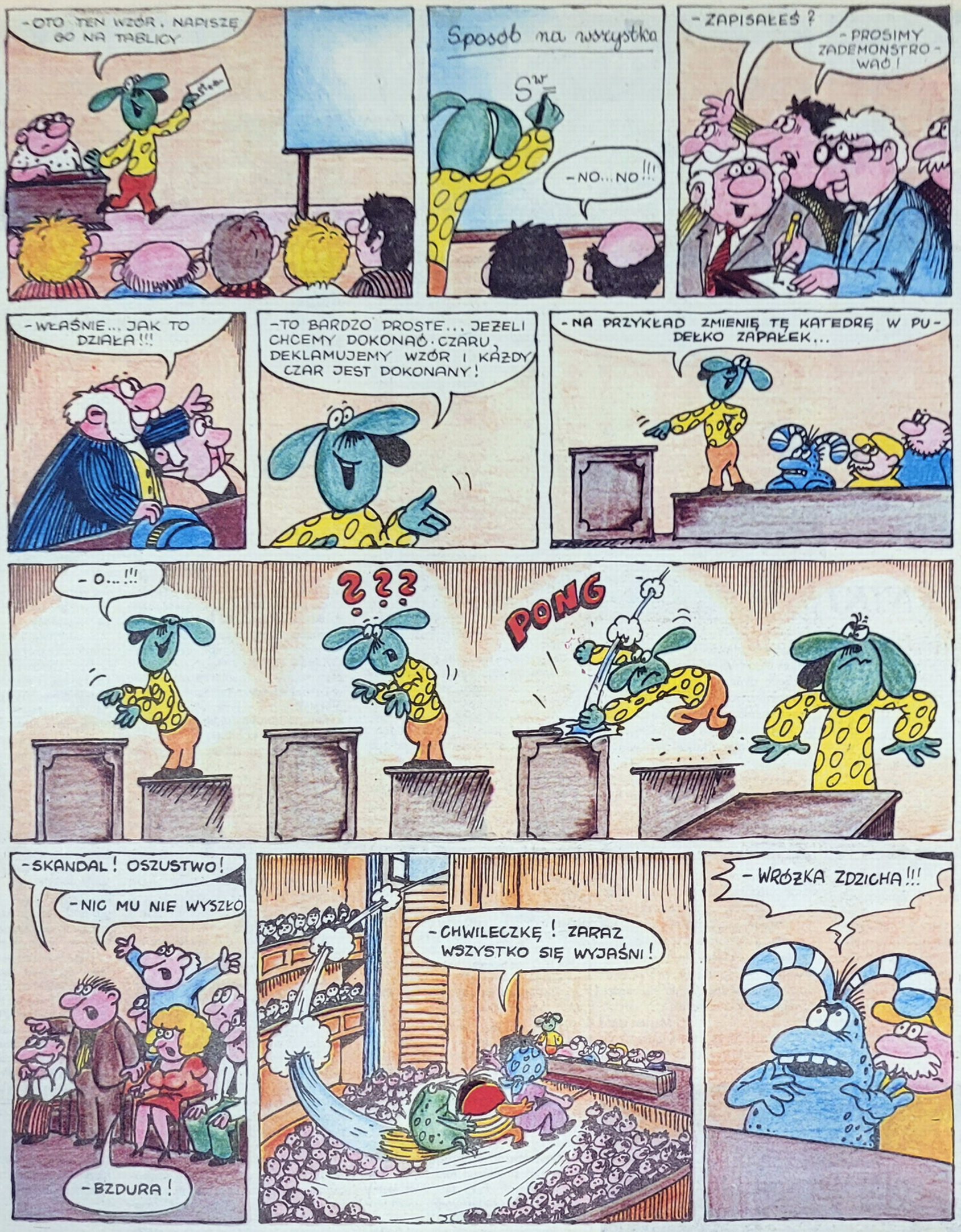

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 400-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327). UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. 5173/G S-30

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

PRZYPADKOWE ODKRYCIE BEZCENNEGO KAMIENIA

MEKSYK (PAP). Mieszkaniec małego brazylijskiego miasteczka Conceleiro-Pena znalazł drogocenny kamień, turmalit, o wadze 12 kg – jeden z największych i najcenniejszych na świecie. Geolodzy ocenili jego wartość na kilka milionów dolarów. Obecnie kamień znajduje się w depozycie, w sejfie banku stanowego. (kl)

– Nie – odrzekłem twardo. – Nie przyłożę ręki do takiej bujdy.

I z dumnie wypiętą piersią ruszyłem na brzeg jeziora, do swego jachtu.

Potem znowu położyłem się na koi i tak leżałem, dopóki Bajeczka nie nadeszła z zakupami i zabrała się do przyrządzania obiadu, a jak wiecie, jeść nie chciałem.

– Tyle się namęczyłam, a pan nawet nie chce skosztować – już po raz drugi dziewczyna weszła do kabiny i próbowała mnie wyrwać z odrętwienia, jakie mnie ogarnęło.

To było dość dziwne uczucie. Jakby moje myśli uciekały w różnych kierunkach, rozbiegały się po kilku płaszczyznach jednocześnie. Coś w rodzaju bólu sprawiał mi wysiłek, aby je zebrać, zgłębić do końca sprawę porwania Diany Denver i wiele innych kwestii. Tak, tych spraw było kilka i może dlatego myśli moje rozpierzchły się we wszystkie strony.

– Czy naprawdę nie jest pan głodny? – spytała Bajeczka. – Myślę, że Diana Denver nie jest warta, aby tak się pan o nią martwił.

Sięgnąłem ręką na półeczkę w kabinie i zdjąłem z niej pomalowaną na złoty kolor skórzaną rękawicę.

– Chcę wiedzieć, dlaczego Batura kazał pani podrzucić mi tę rękawicę? Co kryje się za tym gestem?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Mówiłam to już panu – westchnęła. – Kazał mi tylko wybadać pana, czemu rozpoczął pan rejs na „Krasuli", skoro, jak stwierdził, odnalazł pan dom poety. Polecił mi także podrzucić panu tę rękawicę.

– A pani nie zapytała, dlaczego ma to pani zrobić?

– Wtedy bez szemrania wykonywałam wszystkie jego polecenia. Ale teraz wydaje mi się, że domyślam się przyczyny tego gestu. Pan dopiero dzisiaj poznał legendę o złotej rękawicy. Natomiast on wpadł na nią znacznie wcześniej. Tę legendę opowiedział mu ktoś w Karnitach, jakiś miejscowy robotnik rolny. Batura domyślał się, że pan nie ustanie w wysiłkach, aby zgłębić tajemnicę wiersza. Może pragnął ostrzec, aby pan porzucił tę sprawę?...

I raptem stało się coś dziwnego. W moim mózgu jak gdyby odpadła jakaś zamknięta dotąd klapka i zobaczyłem swoje sprawy w niezwykle jaskrawym świetle.

– Wiem, gdzie jest panna Denver – nieoczekiwanie rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Bajeczka spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Ale ja naprawdę domyśliłem się, gdzie ukryto Dianę Denver. Powiedział mi o tym kierunek, z jakiego nadpłynął „Lord Jim". Podsunęła mi także tę pewność świadomość, że i Batura wiedział od dawna, gdzie żył autor „Złotej rękawicy".

I już miałem wyjawić Bajeczce miejsce pobytu aktorki, gdy z brzegu usłyszałem głos pani Jagody:

– Proszę pana. Przyjechał pan Domini i chce z panem rozmawiać, może pan pozwoli do nas, do domu.

Wyjrzałem z kabiny.

– Jeśli Domini ma do mnie interes, to niech przyjdzie tutaj, na jacht.

– Jest z nim pan Batura. Chcą z panem porozmawiać na osobności. Pan Templer także na pana czeka...

– Batura? – ucieszyłem się. – Batura przyjechał z panem Domini? To zmienia postać rzeczy. Bardzo chętnie zamienię z nim kilka słów.

Narzuciłem na siebie welwetową kurteczkę i sprawdziłem, czy mam w kieszeni klucze od wehikułu.

Bajeczka położyła mi dłoń na ramieniu:

– Niech pan nie idzie na tę rozmowę. Może to kolejna pułapka? Jeśli z panem Domini jest Batura, można się spodziewać najgorszego.

Beztrosko wruszyłem ramionami.

– A co mi mogą zrobić? Oskarżyć o współudział w porwaniu Diany Denver? Ależ to śmieszne, nikt w to nie uwierzy!

Dokończenie na str. 7